



# **Został w lesie krzyż żelazny**

**Prezentacja prac konkursowych**



**Został w lesie krzyż żelazny.**  
**Prezentacja prac konkursowych.**

Wojewódzka Biblioteka Publiczna  
im. Marszałka Józefa Piłsudskiego w Łodzi

Łódź 2023

Opracowanie  
Aneta Powalska Pietrzak  
Ewa Mec

Opracowanie graficzne  
Piotr Mec

Skład komputerowy  
Piotr Mec

## Spis Treści

|                                                                                |           |
|--------------------------------------------------------------------------------|-----------|
| <i>Przedmowa</i>                                                               | <i>1</i>  |
| <i>„MAESTRO” Marcin Maśłowski</i>                                              | <i>3</i>  |
| <i>Przepustka do nieba Agata Jaworska-Śmigiel</i>                              | <i>11</i> |
| <i>Nie zostało w lesie nic... Aleksandra Butkiewicz</i>                        | <i>17</i> |
| <i>Został w lesie krzyż żelazny... Dorota Początek</i>                         | <i>24</i> |
| <i>„Jakub Bem i srebrne orły” Julia Kozłowska</i>                              | <i>29</i> |
| <i>160 lat pamięci – Powstanie Styczniowe Roksana Cieplucha</i>                | <i>34</i> |
| <i>Samotny krzyż na cmentarzu Anna Jolanta Dylewska</i>                        | <i>39</i> |
| <i>Bitwa pod Dobrą-bohaterowie znani, zapomniani, niesławni Zofia Krasuska</i> | <i>46</i> |
| <i>Bóg, Honor, Ojczyzna Maja Marks</i>                                         | <i>52</i> |
| <i>Jeden zły ruch Wiktoria Michalska</i>                                       | <i>58</i> |
| <i>Pamiątka rodzinna Amelia Reksulak</i>                                       | <i>63</i> |
| <i>Ruszajmy! Już nastał czas! Kacper Saganiak</i>                              | <i>70</i> |
| <i>Ostatni lot gila Weronika Wachowska</i>                                     | <i>77</i> |

## Przedmowa

Ogłoszenie Manifestu Tymczasowego Rządu Narodowego z 22.01.1863 r. traktowane jest jako początek Powstania Styczniowego, najdłuższego zrywu narodowego w okresie zaborów. Zbrojny opór przeciwko Imperium Rosyjskiemu trwał do połowy 1864, miał charakter partyzancki i objął swym zasięgiem Królestwo Polskie i część wschodnich kresów dawnej Rzeczypospolitej. Bezprecedensowy, desperacki Zryw Styczniowy wciągnął w swą orbitę ogromne rzesze polskich patriotów i zyskał silne poparcie zagranicznych sojuszników. W obronie narodowych praw Polaków wypowiadali się dyplomaci, parlamentarzyści i rządy wielu krajów europejskich. Działanie te nie odniosły większego skutku, a po upadku powstania represje carskie osiągnęły nienotowaną wcześniej skalę. Za uczestnictwo w walkach zbrojnych, za pomoc w ich prowadzeniu, czy nawet za moralne wsparcie powstańców groziła kara śmierci. Najwyższy wymiar kary dotknął wielu polskich patriotów. Ci, którym udało się uciec z życiem, zostawali skazani na zesłanie w odległe rejony Syberii. Ludzki wymiar Powstania Styczniowego jest wstrząsający. Udział w walce zbrojnej za wolność Ojczyzny rzutował nie tylko na samych uczestników powstania, ale także na ich rodziny i to w perspektywie kolejnych pokoleń. Upadek Powstania 1863 to nie tylko dramaty ludzkie, ale także śmiertelny cios dla tłoczącej się w narodzie nadziei na odzyskanie niepodległości. Te silne emocje o negatywnym zabarwieniu znalazły odzwierciedlenie w niemal wszystkich dziedzinach ówczesnej kultury i sztuki. Echa powstaniowe odnaleźć można w literaturze, muzyce i malarstwie.

Wydarzenia te zasługują na najwyższy honor, na należyte upamiętnienie, a pamięć o uczestnikach walk lat 1863-64 nie może zaniknąć.

Wojewódzka Biblioteka Publiczna im. Marszałka Józefa Piłsudskiego w Łodzi włączyła się w cykl wydarzeń organizowanych w całym kraju, których celem było przypomnienie heroicznych postaw powstańców styczniowych i prowadzonych przez nich walk o wolność Ojczyzny.

Projekt „Zwycięstwo ducha, zwycięstwo odwagi, zwycięstwo miłości Ojczyzny” autorstwa pracowników Działu Informacji Naukowej WBP uzyskał dofinansowanie ze środków Biura „Niepodległa” w ramach Programu Dotacyjnego „Powstanie Styczniowe 1863-1864”. W ramach projektu zrealizowano wiele eventów o tematyce powstaniowej: wystawy, prelekcje, publikacje i konkursy dla osób szczególnie zainteresowanych rebelią 1863 r. i historią Polski XIX wieku.

Publikacja elektroniczna pt.: „Został w lesie krzyż żelazny”, którą przekazujemy w ręce czytelników jest pokłosiem konkursu literackiego o tym samym tytule, który stanowił integralną część projektu.

Zadaniem uczestnika konkursu „Został w lesie krzyż żelazny” było napisanie opowiadania o tematyce związanej z przebiegiem Powstania Styczniowego w Łodzi lub w regionie łódzkim. Opowiadanie mogło dotyczyć dowolnego - wybranego przez uczestnika konkursu - aspektu działań zbrojnych w latach 1863 -1864. Mogła to być opowieść o przebiegu bitwy, o działaniach konspiracyjnych, o relacjach międzyludzkich w obliczu krwawych walk. W kwestii sposobu ujęcia tematu pozostawiono pełną dowolność autorom tekstów literackich. Niezbywalnym wyznacznikiem prac, przyjętych do konkursu, była forma opowiadania - krótkiego utworu narracyjnego o prostej akcji, niewielkich rozmiarach, najczęściej jednowątkowej fabule, pisanego prozą.

Spośród opowiadań zgłoszonych do konkursu 13 spełniało kryteria formalne i wzięło udział we współzawodnictwie. Jury konkursowe w składzie: p. Wielisław Marinow – pracownik Działu Informacji Naukowej, p. Ewa Nowak-Wawrzyniak – kierownik Działu Dziecięcego, p. Joanna Kantyka – kierownik Działu Zbiorów Regionalnych, p. Agata Chlebna – pracownik Działu Zbiorów Regionalnych przyznało cztery nagrody i jedno wyróżnienie. Nagrodzone opowiadania rozpoczynają publikację, a po nich zamieszczono pozostałe teksty w kolejności alfabetycznej nazwisk autorów.

Wszystkie prace przekazane do biblioteki na konkurs „Został w lesie krzyż żelazny” odznaczają się oryginalnym ujęciem tematu i wskazują na duże umiejętności literackie autorów. Wspólnym mianownikiem zaprezentowanych poniżej prac jest nadzwyczajne wyczucie atmosfery jaka panowała wśród polskich patriotów w latach 1863-64 oraz dobra znajomość historii.

Serdecznie zachęcamy do zapoznania się ze wszystkimi opowiadaniem wchodzącymi w skład publikacji pokonkursowej. Laureatom gratulujemy i życzymy dalszych sukcesów, a wszystkim uczestnikom dziękujemy za zaangażowanie i udział w konkursie.

W publikacji zachowano język oryginałów wprowadzając jedynie niezbędne zmiany edytorskie.

**Marcin Masłowski**

**„MAESTRO”**

Pojazd wtoczył się na podjazd, dwukrotnie objechał przysypany śniegiem klomb, po czym zatrzymał się przed drzwiami wejściowymi do pałacu.

Wypadli z pojazdu jak dzieciarnia: podekscytowani i głośni. Dwie panny w kusych kożuszkach i dwaj młodzieńcy, ostentacyjnie pozbawieni zimowych okryć. Gdy wbiegali do środka jeden z nich wyrzucił rękę tak mocno, że z trzymanej przezeń butelki szampana wzburzyła się piana i wystrzeliła, zachlapując fartuszek oczekującej ich służki.

– Jesteśmy! – krzyknęła Maria Kornatowicz. – Papo?!

– Może jest w fabryce? – zapytała rozbawiona Elżbieta.

– Dajmy ojcu spokój – odparł Andrzej Kornatowicz i spojrzał na zastrachaną dziewczynę. – Niech Wiesia przyniesie coś do picia.

– Kawa wszystkim dobrze zrobi – stwierdził Henryk, który chwiejąc się nieco, próbował oczyścić okulary z kropel wody.

Towarzystwo tanecznym krokiem udało się do salonu. Wiesia ujrzała wówczas piętego pasażera samochodu. Jego twarz skryta była w cieniu kapelusza, ale gdy spojrzał na dziewczynę, niemal podskoczyła z przejęcia. Wzrok miał bowiem straszliwy: czarne źrenice dużych oczu kontrastowały z niehumanitarną jasnością policzków. Ziemista cera i drobno przyszyty wąsik dodawały jego aurze cech niepospolitości.

Odłożył nakrycie głowy i sam wszedł do salonu.

– Aleśmy pana urządzili! – krzyknął Andrzej i bezradnie rozłożył ręce. – To te moje siostry... Niech pan zechce usiąść.

– Proszę nam wybaczyć, monsieur – Maria zaczęła nieśmiało i w tej samej chwili Elżbieta parsknęła śmiechem.

– Maestro! – powiedziała, patrząc na młodszą siostrę z wyższością. – Elunia jest jeszcze zbyt młoda, by wiedzieć, jak posługiwać się tytułaturą. Niech pan wybaczy jej lapsus.

Dziewczyna zrobiła obrażoną minę, a mężczyzna skwitował zamieszanie tylko uśmiechem. Usiadł na fotelu i rozejrzał się wkoło. Urządzony w ciemnych kolorach salon wypełniony był olejnymi obrazami ubranymi w złote ramy. Ciężkie meble, antyczna sztuka i kryształowy żyrandol dopełniały całości. Typowy fabrykancki pałac.

– Ojca musiało coś zatrzymać w kantorze – wyjaśnił Andrzej.

– Te ciągle zastoje i narzekania robotników stają się nie do zniesienia – stwierdził oschle Henryk i sięgnął po kieliszki. Napełnił je bursztynowym płynem i wręczył mężczyźnie.

– To musi się zmienić – odezwał się Andrzej. – Polska to młody kraj, ale gonimy sąsiadów. Czas wyrwać się z tej wschodniej zaścianowości.

– Daj już spokój, braciszku – przerwała mu Maria. – Nie rozmawiajmy o rzeczach przyziemnych i nie zanudzajmy Maestro.

– Prawda! – zawołała Elżbieta. – Zbliża się wieczór i chcielibyśmy jak najszybciej...

– Proszę pani, tu się nie ma czego spieszyć – odpowiedział jej tajemniczo i upił łyk koniaku. – Dobrze pani wie, że nie wolno poganiać medium.

Podniósł się z fotela i zaczął niespokojnie krążyć po salonie.

– Czy coś się stało, monsieur? – zapytała Maria.

– Proszę o ciszę – wyszeptał.

Dotknął kwietnej tapety, przymknął oczy, odrzucił głowę i zastygł w bezruchu.

– Czuję... – wyszeptał. – Czuję...

Otworzyły się drzwi i stanęła w nich Wiesia. Odgłos ten, wobec panującej w salonie ciszy, był tak doniosły, że siostry podskoczyły, a Henryk o mało nie wypuścił kieliszka z dłoni.

– Herbata – wydukała skonfundowana.

– Kawę – rzekł Andrzej. – Prosiliśmy o kawę.

Służka zatrzepotała rzęsami i po tym, jak postawiła tacę na stole, zniknęła tak szybko, jak się pojawiła. Ledwie zdążyła przymknąć drzwi, gdy cień mistrza Zapendowskiego ruszył za nią. Przestraszona krzyknęła, ale maestro minął ją i popędził na piętro. W salonie znów zapadła konsternacja.

– Brawo – stwierdził kąśliwie Henryk. – Zamiast obiecywanego seansu mamy zabawę w chowanego.

– Zapendowski ma swoje dziwactwa, ale wynikają one z jego predyspozycji – wytłumaczyła Maria.

– Odczytuje zamknięte listy, odszukuje zagubione przedmioty i ma wizje – Henryk drwił dalej. – Chyba nie wierzycie na serio w te... – machnął dłonią, dopowiadając nimi ostatnie słowo.

– Najważniejsze, że ma powodzenie w Warszawie – dodał Andrzej i znacząco spojrzał na szwagra. – Powinniśmy powstrzymać się od wybrednych komentarzy. Dobrze zadbany Zapendowski potrafi wiele załatwić. I nie tylko w świecie astralnym. Niedawno gościł na raucie u porucznikowej Bożaneckiej i później tak się złożyło, że spółka jej zięcia otrzymała kontrakt rządowy. Zapendowski bawił się przednio, jadł za dwóch i pił za trzech, a gdy zgasty światła i wszyscy zasiedli przy stoliku, zmaterializował ektoplazmę.

– Za takie pieniądze, jakie mu płacimy, sam mógłbym coś zmaterializować – ironizował Andrzej i spojrzał na drzwi. – No ale gdzie pobiegł ten twój jogin, Mario?

\*

W pokoju panował półmrok, a to przez zasłonięte ciężką kotarą okno, przez które wpadał do środka skośny słup światła. Zapendowski ostrożnie stawiał kroki. Poczuł jedyny w swym rodzaju chłód i kiedy zamierzał porzucić wewnętrzne wołanie i wrócić do ciepłego salonu na parterze, jego wzrok spoczął na żelaznym krzyżu wiszącym na ścianie. Zatrzymał się w półobrocie i przyglądał się umieszczonej nad nią szabli.

– To kosa i flinta myśliwska – usłyszał szept dochodzący z ciemności. – Ale niestety nie mogę powiedzieć, że wiem, jak sprawdziły się w boju. Albo że wsiąkała w nie krew Moskala.

Zapendowski drgnął, ale nie potrafił wykonać kroku.

– Zastanawiałem się, kiedy pan do mnie zajdzie. Proszę, niech pan sobie gdzieś poszuka miejsca.

Mistrz wbrew własnej woli zasiadł w głębokim fotelu.

– Ja już niewiele widzę i mało słyszę, ale o tym, że pan nas dzisiaj odwiedzi, Maria mówiła od kilku dni.

– Przepraszam, że panu przeszkodziłem – zaczął się tłumaczyć i wtedy zaokienna jasność rozbłysła, by ukazać mu leżącą w łóżku postać starca. Zapendowski zdążył dostrzec dziwnie spokojne oczy, ale wszystko to trwało chwilę tak krótką, że nie potrafiłby powiedzieć, co zdążył zobaczyć.

– Chciałbym pana zapytać... Niech się pan nie dziwi, ale zastanawiam się, czy już przybyła.

– Kto?

– Śmierć, to jasne. Pan, zdaje się z tego, co mówiła Marysia, często się z nią widuje.

– Proszę wybaczyć, ale to tak nie działa...

– A jak?

– Potrzebuję spokoju. I muszę nastroić nerwy, a to bywa kłopotliwe, jeśli oczekuje się nagłych rezultatów.

– A mnie zewsząd otacza śmierć. Nawet tu. Przecież tę kosę ktoś wykuł i ktoś jej użył, a z tej flinty musiał wypalić któryś z powstańców. Tak czy siak, niosły śmierć.

– Powstańców?

– Ile lat już minęło? Ponad sześćdziesiąt? A mimo to przed oczyma ciągle staje mi ten sam obraz, te same dźwięki i zapachy tamtego lutowego dnia...

– Pan walczył w powstaniu – stwierdził Zapendowski. Domyślał się, że miał przed sobą dziadka Marii, Elżbiety i Andrzeja.

– Och, wtedy byłoby o wiele prościej i nie musiałbym z panem rozmawiać. Niestety, nie dano mi tej szansy, choć teraz uważam, że mój ojciec słusznie nie pozwolił mi ruszyć z Dworzaczkiem.

– Proszę o wybaczenie, ale ja...

– Ależ oczywiście, że pan nie wie, kim był doktor Dworzaczek. Wtedy, tamtego dnia, niewielu z nas wiedziało, co się działo...

Światło odchodzącego dnia znów rozgrzało się ciepłem. Na Zapendowskiego spłynęła zasłona blasku, duszny pokój zniknął gdzieś za nią, a on słyszał tylko słowa: im więcej Kornatowicz mówił, tym więcej maestro widział.

– To było gdzieś pod koniec lutego, kiedy przez miasto gruchnęła wieść o zbliżającym się od strony Zgierza oddziale, tak jak wcześniej o zbiorce spiskowców w radogoskim lesie. Wtedy kosynierzy przemaszerowali Piotrkowską i zostawili po sobie ślady, których nie można było lekceważyć – zrzucony z ratusza ruski orzeł i odezwa wbita na drzwiach budynku były jak wypowiedzenie wojny. Teraz historia miała się powtórzyć. Stałem wśród ciekawskich i wpatrywałem się w budynek magistratu. Wtedy, gdzieś ponad głowami tłumu, ujrzałem doktora Dworzaczka. Mój Boże, miałem wtedy szesnaście lat...

A on prawili coś pod ratuszem, wykrzykiwał hasła wzniosłe i porywał nimi tłum. Zabrzmiały słowa mazurka, zatrzepotały sztandary z Matką Boską, błyskały żelazne iskry kos. Patrzyłem na pałasze i piki, na konnych i pieszych. Niech żyje naczelnik! – krzyczano, i młodzież, ta łódzka młodzież gotowa była do walki o wolność! W otoczeniu wszystkich łódzkich narodowości i wyznań Dworzaczek brzmiał groźnie: władza magistratu ustaje!, po czym wszedł do budynku. Miałem rzucić się do przodu, ale ojciec mój powstrzymał zapal młodego. Stałem więc nadal, spocony z przejęcia i patrzyłem, jak na moich oczach dzieją się rzeczy straszliwe i podniosłe jednocześnie.

Tłum zafalował i znów ludzie ruszyli ku przodowi. Błysnęły flinty, konie zarżały nerwowo i drzwi magistratu stanęły otworem. Naczelnik wyprowadził urzędników i oznajmił, że są aresztowani. Koniec z ruską władzą! – krzyknął i wtedy mój ojciec przeżegnał się z trwogą. Szepcząc coś do siebie nie słyszał, jak na pytanie któregoś z rajców doktor odparł gniewnie, że rozkazy sam sobie wydaje, zaś ci co z bronią za nim stoją, dopilnują, by wszystkie zostały spełnione.

– Nikt jeszcze z Moskalami nie wygrał – mówił ojciec i zaczął mnie odciągać na bok. A gdy chciałem mu się sprzeciwić, zatrzymał mnie i wycelował palcem w tłum.

– Widzisz te kosy? Widzisz te flinty? One nie pokonają carskich karabinów. Toż to płochliwa kosynierka, chłopci, robotnicy i rzemieślnicy! Ochotnicy nienawykli do bitki, przyjdzie im wszystkim zginąć! Patrz! – wołał, gdy chciałem protestować. – Z drągami, kijami i z lancami na broń ciężką się wybierają! Gdzie

pałasze, gdzie ich rewolwery? Ci znów broń myśliwską dzierżą, z której się na wróble poluje!

Wyrwałem się i pobiegłem w stronę tłumu. Widziałem pewność siebie i zaciętość

w powstańczych, młodych oczach. Gdybym tylko miał taką sposobność, zabrałbym się z nimi! Oddziały bowiem zaczynały zbierać się w stronę Zgierza. Dobiegłem do drzwi magistratu i przeczytałem odezwę, a słowa jej zapamiętałem do końca: „Od jedenastu blisko miesięcy wytrzymaliśmy walkę z bezprzykładnym barbarzyństwem i nienawiścią wrogów...”.

Zerknąłem jeszcze na zepchnięte pod mur kamienne truchło rosyjskiego orła, co wraz z powiewem powstańczej wolności zleciał ze ścian ratusza. Usłyszałem wołanie ojca i gdym do niego dobiegł, zobaczyłem łzy w jego oczach.

– Nie dzisiaj, synek, nie dzisiaj – mówił i płakał tak, jak płakali ci, którzy żegnali bohaterów. Ale ja spojrzeniem go uprosiłem i ruszyłem za naczelnikiem, za wojskowymi oddziałami. Liczyć ich próbowałem, czy ich sześć setek było, czy dziesięć, a obok mnie szli ku Staremu Miastu Niemiec, Żyd i Polak. Pod kościołem czekał proboszcz z wikariuszami. „Wiwat, Polska nasza”! „Wiwat polskie wojsko”! Sam miałem łzy w oczach.

A później pamiętam tylko otchłań rozpacz. I znów wiadomości spływały do miasta niechętnie, jakby same nie chciały być słyszalne. Dwudziestego czwartego lutego pod Dobrą Dworzaczkę stanął do bitwy z dwiema kompaniami piechoty i sotnią kozaków. Mówiono, że wart nie wystawił i Rosjanie zdążyli go zaskoczyć. Gdy nakazał odwrót, cały jego oddział rzucił się do ucieczki. Powstańców pochłonał chaos, była to kozacka rzeź, zginęło ponad sześćdziesięciu bohaterów, a setka była ranna...

W ciszę pokoju na pięttrze wdarły się zgrzytem przedziwnym śmiechy Marii i Elżbiety. Oczy starego Kornatowicza rozbłysły zimnymi ognikami.

– Nigdy nie pogodziłem się z myślą, że wróciłem do domu, bo strach przed karą ojca pokonał pragnienia serca. A później nic już nie było takie same, ani pokasływania rewolucji, ani Wielka Wojna. Młodość, panie Zappendowski, młodość... Kiedym stał na rynku, czułem, że sam mógłbym skruszyć moskalskiego orła, sam na cara biec z kosą na sztorc osadzoną. Ile nieszczęścia ludziom trzeba zesłać, by iskrę w nich podpalić, co tlić się będzie nie rok, nie dwa, lecz przez całe pokolenia? Pewnie uznasz pan, że patriotyczne śpiewki dawno już nie w modzie, że mamy nową Polskę, która może nie jest taka, jaką chcieliśmy

mieć, ale jest nasza, własna. Po upadku powstania, który ojciec mój przewidywał, zająłem się pracą: pierwsza fabryka, druga, trzecia. Dla kogo to robiłem? Przecież nie dla Polski, tylko dla siebie. Tu w Łodzi liczył się pieniądz, nie człowiek nawet, nie miasto. Ale wtedy, tamtej straszliwej nocy, gdy dotarły do nas pierwsze wieści o tragicznej bitwie, zrozumiałem, że i to powstanie upadnie. Że nie w powstaniach myśmy dobrzy, tylko w symbolach, w gestach, w śpiewie i sztandarach. Zrywać się potrafimy, bitni jesteśmy, ale wszystko to za późno dla nas, za późno...

Zapendowski wpatrywał się w bladą twarz starca. Z dołu dobiegły do niego dźwięki szlagieru. Pomyślał, że gdy młodzież bawiła się, to tu, na górze...

Pokój znów wypełniła zimna zaokienna poświata, jakby styczeń chciał wejść do środka i oszronić ściany i stiukowy sufit. Ujrzał portrety mężczyzn, których twarze nic mu nie mówiły, a które zerkwały na niego z komody i biurka.

– Ale myślę, że przyjdzie i taki dzień, kiedy to wszystko się odmieni – twarz starca stała się niemal przezroczysta. – Ale to już nie moje zadanie, nie moja warta.

– Pan, zdaje się, miał wobec mnie jakieś oczekiwania i...

– Tak, ale to już nieważne – Kornatowicz odparł ledwie słyszalnym głosem.  
– Wiem, że już dawno do mnie przyszła, a ja po prostu chciałem panu o tym opowiedzieć.

Drzwi otworzyły się nagle i w progu stanął zziębnięty Andrzej.

– Co pan, na miłość boską, wyprawiasz? Panie czekają, kawa stygnie, a pan skutecznie jakieś wycieczki!

Zaczął poganiać Zapendowicza, dziwiąc się, że ten ciągle wpatrywał się w zasłane łóżko. Udało mu się wreszcie wyprowadzić go na rozświetlone piętro.

– Odbyliśmy sobie z pańskim dziadkiem miłą pogawędkę – zaczął przepraszając.

– Pan sobie razy żartować, maestro.

– Otóż proszę sobie wyobrazić...

– Panie Zapendowski – Andrzej położył swe dłonie na ramionach Zapendowicza. – Pan ma płacone duże pieniądze, pan ma damy zabawić, to chyba dość oczywiste.

– Kiedy pański dziad to kopalnia wspomnień! – maestro nie dał się wybić z rytmu. – Owszem to schorowany człowiek, ale ta pamięć! – nie mógł wyjść z podziwu.

– Panie Zappendowski – Andrzej zatrzymał go na ostatnim stopniu schodów.  
– Nie wiem, czy pan sobie drwisz ze mnie, ale uważam to za nieprzystojne. I nie – przerwał mu – nie pozwolę panu bawić się kosztem dam! Proszę natychmiast zapomnieć te brednie!

– Jak pan śmie! Pański dziad...

– Jan Kornatowicz odszedł na wiosnę i jego pokój, ta niedorzeczna świątynia pamiątek po młodzieńczych wybuchach dziadka, był odtąd zamknięty.

Zappendowskiego oblał zimny pot. Złapał się za serce i oparł się o poręcz.

– Jędrku? – główka rozbawionej Marii wychyliła się zza drzwi salonu. – Mistrzu! Pan cały drżysz! – zmarszczyła ze złości nosek i stanowczym tonem zażądała, by Andrzej zaprowadził maestro do fotela. – Niech się napije kawy z cukrem!

Zappendowski został usadowiony przy kominku. Drżącymi palcami chwycił filiżankę i zamoczył usta w czarnym, słodkim płynie.

Zapadł wieczór, a ostatnie pobłyski dnia dawno już zbladły, szerniały. Maria zasłaniała rolety, Henryk zapalał świeczniki, zaś Andrzej zastanawiał się, jak odpowiednio ustawić okrągły stolik. Wszystko to miało stworzyć najlepsze warunki do tego, co było zaplanowane na tę styczniową noc.

Elżbieta uklękła przed Zappendowskim i popatrzyła mu prosto w oczy.

– Czy możemy już zacząć wywoływać duchy?

## *II miejsce w konkursie “Został w lesie krzyż żelazny”*

**Agata Jaworska-Śmigiel**

### **Przepustka do nieba**

*Za czyny dla kraju – nagrody nie trzeba,  
Lecz gdy duch styczniowca w zaświaty odleci,  
Skreślcie mu nad grobem przepustkę do nieba:  
“Rok 1863”.*

Walenty Czerkowski “Do swoich rodaków”

Słońce coraz mocniej przytulało się do horyzontu, pozłacając wyciosane z piaskowca pomniki. Delikatny podmuch wiatru przyniósł ze sobą słodki zapach kwitnących nieopodal lip. Letni wieczór byłby naprawdę piękny, gdyby nie uczucie smutku, które nie opuszczało Antoniny Skrzyńskiej od lat. Stała nad mogiłą brata, usiłując przypomnieć sobie, czy lipiec 1863 roku był równie piękny. Jedyne, co zapamiętała z tamtego okresu, to troska o najbliższych i napięcie, które rozprzestrzeniło się wtedy po kraju jak złe powietrze. Z całą mocą wybuchł tłący się od dawna konflikt, pociągając za sobą ludzi wszystkich stanów i narodowości. Był nie do zatrzymania. W kraju wrzało, a dni Antoniny wyznaczało w tamtym czasie dogłądanie chorej matki oraz śledzenie wiadomości z pola walki. Te docierały do niej z opóźnieniem, dlatego o śmierci brata dowiedziała się dopiero po kilku tygodniach.

Mogła być wczesna jesień, gdy przywieziono pocztę. Wśród spodziewanych listów od przyjaciół znalazł się jeden adresowany nieznaną ręką. W pełnych współczucia słowach skreślonych eleganckim pismem niejaka Emilia Płachcińska donosiła o śmierci Józefa Skrzyńskiego. Antonina kilkakrotnie czytała wiadomość, zanim pojęła jej treść. Dłonie drżały jej z emocji, zwykle blade policzki zabarwiły się szkarłatem. Wzburzona, nie zauważyła stojącej w progu salonu matki. Żadne słowa nie były potrzebne, gdy spojrzenia kobiet się skrzyżowały. Starsza od razu odgadła treść listu. Na nic zdałoby się ukrywanie

przed nią prawdy. Tego dnia dom ich pełen był łez i zanoszonych do nieba wyrzutów, na które nigdy nie nadeszła odpowiedź. Dopiero wieczorem, wymęczona silnymi emocjami, pani Skrzyńska przysnęła w fotelu. Córka, nie chcąc jej budzić, starała się zachowywać jak najciszej, chociaż sama miała ochotę wyć. Józef był jej młodszym, wypieszczonym bratem i najbliższym przyjacielem zarazem. Antoninę w końcu zaniepokoiła przedłużająca się drzemka matki. Ku swojemu przerażeniu odkryła, że starsza pani nie oddychała a dłonie miała zimne jak lód. Na jej bladych ustach zastygł lekki uśmiech.

Tego dnia Antonina straciła dwie najbliższe osoby. Ojciec od dawna już nie żył i gdyby nie pomoc dobrych ludzi, kobieta nie dałaby sobie rady. Pani Skrzyńska spoczęła obok męża, natomiast dla jej córki rozpoczął się najtrudniejszy okres w życiu. Całymi godzinami snuła się po domu lub ogrodzie, nie mogąc zaznać wytchnienia. Gdyby tylko urodziła się mężczyzną! Mogłaby pomścić brata, a choćby nawet i zginąć. Jej i tak już nie chciało się żyć. Jedynym pocieszeniem okazała się korespondencja z Emilią Płachcińską, która dbała o mogiłę Józefa. Od niej to wiedziała, że brat zginął 11 lipca pod Kołacinem, po czym spoczął na cmentarzu w Brzezinach. Nazwy tych miejscowości nie Antoninie nie mówiły, jednak fakt, że mężczyzna nie został bezimienne pochowany w zbiorowej mogile, można było uznać za cud. Kolejnym cudem zdawała się opieka, jaką zupełnie obca osoba roztoczyła nad jego grobem.

Antonina spojrzała na siedzącą przy mogile drobną postać kobiety, wobec której miała ogromny dług wdzięczności. Ta, pomimo upału, trzymała się prosto, jedynie grymas bólu na poorly zmarszczkami twarzy świadczył o trawiącym ją bólu. Wpatrywała się w tablicę z nazwiskami sześciu mężczyzn, z których pierwsze należało do Władysława Płachcińskiego. Jako zaledwie dwudziestoletni student medycyny dołączył on do oddziału Dworaczka, gdy ten werbował ochotników do walki w lutym 1863 roku. Cóż to był za przemarsz! Mieszkańcy Brzezin witali dumnych powstańców z otwartymi ramionami, karmili i ofiarnie wspierali. Nawet żydowscy krawcy dołączyli do przedsięwzięcia, szyjąc wojakom mundury. Niezwykle poruszenie nie pozostało jednak niezauważone. Do końca nie wiadomo, czy to Niemiec Futerleib doniósł wtedy władzom carskim o dużym oddziale "buntowszczyków". Faktem było, że za powstańcami ruszył pościg, który dopadł ich już za Brzezinami. Pod Dobrą rozegrała się wtedy jedna z większych bitew powstania, dla Polaków tragiczna w skutkach. Młody Władysław poległ na polu walki, podobnie jak kilkudziesięciu innych powstańców, wśród których znajdowały się cztery kobiety. Okoliczni mieszkańcy

do dzisiaj z ogromną czcią wymawiali nazwisko Marii Piotrowiczowej, która, będąc przy nadziei, walczyła na równi z mężczyznami.

Oddział Dworzaczka uległ rozproszeniu, a on sam salwował się ucieczką. Zwycięzcy dla powstańców, zarówno żywych, jak i poległych, nie mieli żadnej litości. Tylko upór matki sprawił, że władze carskie pozwoliły pochować Władysława w rodzinnym mieście. Od tego czasu kobieta przychodziła na cmentarz każdego dnia. Gdy po kilku miesiącach sprowadzono tu ciało poległego Józefa Skrzyńskiego, to właśnie pani Płachcińska zadbała o umieszczenie na jego mogile drewnianego krzyża oraz niewielkiej tabliczki z nazwiskiem. Ona także wzięła na siebie obowiązek poinformowania o wszystkim rodziny. Mawiała, że gdyby Władek spoczął w obcym miejscu, ktoś inny z pewnością postąpiłby podobnie.

O dowódcy oddziału Płachcińska mówiła bardzo nieprzychylnie.

– Ten zdrajca powinien wisieć jak Futerleib. Gdyby Sawicki dowodził oddziałem, mój syn może wciąż by żył. Miejsce Dworzaczka jest w piekle. Dobrze, że złapali go w tej Nowosolnej.

Dziwnie brzmiały te słowa z ust drobnej, eleganckiej kobiety, jednak Antonina doskonale rozumiała kryjący się za nimi ból. Zresztą, nie tylko pani Emilia wypowiadała się w podobnym tonie. Józef Dworzaczek nie cieszył się dobrą opinią. Władze powstańcze zadecydowały o przekazaniu mu dowództwa po tym, jak odebrano tę funkcję Józefowi Sawickiemu za rzekome przywłaszczenie funduszy. Ale to tego drugiego powstańcy lubili i szanowali. Kto wie, jak potoczyłyby się losy bitwy pod Dobrą, a może nawet i całego powstania, gdyby nie ta niefortunna decyzja.

Ludzie nie kryli swojego rozczarowania. Dawno po ziemiach polskich nie chodziło tyle wdów i sierot. Nie było chyba rodziny, która by kogoś nie straciła. Także restrykcje nie oszczędziły nikogo. Pani Płachcińska otrzymała karę pieniężną za noszenie czarnej sukni. Zapłaciła, jednak żałoby nie zdjęła. Pamięć o jedynaku była dla kobiety świętością. Zaborcy wiedzieli, że nie są w stanie aresztować wszystkich. Zależało im jednak na tym, by pogłębić niechęć wobec podobnych zrywów w przyszłości. Żydzi z Brzezin i Główna przez wiele lat spłacali grzywnę w wysokości 1,5 tysiąca rubli za szycie mundurów dla powstańców. Same Brzeziny zmuszone były do zapłacenia 8 tysięcy rubli za umożliwienie powstańcom konfiskaty pieniędzy z kasy miejskiej, urzędnikom natomiast odebrano miesięczne uposażenie. Bliscy poległych często musieli słuchać głośnych narzekań i skarg. Zupełnie, jakby sami mało wycierpieli.

Złamane społeczeństwo nie miało siły walczyć, a wciąż otwarte rany nie chciały się zabiżniać. Kary finansowe nie były jednak najstraszniejsze, wkrótce bowiem rozpoczęto konfiskaty majątków i masowe aresztowania. Aparat władzy krok po kroku wyłapywał wszystkich zaangażowanych w jakikolwiek sposób w działalność patriotyczną. Rejent z Brzezin, Michał Lewicki został deportowany w głąb europejskiej części Rosji za “podtrzymywanie ducha oporu i wywieranie przez to szkodliwego wpływu na ludność”. Jarzenieckiego, czeladnika z Brzezin skazano na 12 lat katorgi za udział w powieszeniu zdrajcy Futerleiba. Jóźwikowski i Michalski otrzymali karę śmierci. Po wypędzeniu Franciszkanów, budynki klasztorne przekształcono w cerkiew i siedzibę rosyjskiej administracji. Ze zgrozą wymawiano nazwisko Aleksandra von Broemsena, naczelnika wojennego miasta Łodzi i okolic, który słynął z bezkompromisowego stosunku do byłych powstańców. Zaczęto zazdrościć poległym, którzy sami zdecydowali o rodzaju śmierci.

Ze względu na represje i niestabilną sytuację Antonina przez długi czas nie była w stanie odwiedzić grobu brata. Zamieszkała z dalszymi krewnymi, utrzymując się z prywatnych lekcji. Część zaoszczędzonych pieniędzy przekazywała na wdowy i sieroty po powstańcach, część przesyłała pani Płachcińskiej. Po kilku latach dopiero udało się jej przebyć drogę, którą w 1863 roku podążał ku swojemu przeznaczeniu Józef. Jeździła od miasteczka do miasteczka, rozmawiała z naocznymi świadkami. Na szczęście pamięć tamtych wydarzeń była jeszcze w ludziach żywa. Chętnie z nią rozmawiali, dzieląc się swoją wiedzą, doświadczeniami i bólem. Wielu z nich, pomimo upływu lat, w dalszym ciągu żyło powstaniem. Zupełnie, jakby wtedy zatrzymał się dla nich czas.

Antonina chłonęła każde słowo, szelest liści na wietrze, zapach kwitnących ziół. Pragnęła poczuć się tak, jakby to był jej bój o wolność ojczyzny. W żaden sposób nie przyczyniła się do udziału w zrywie niepodległościowym, nie opatrywała ran ani nie ukrywała powstańców. Zazdrościła odwagi kobietom, które odpowiedziały na wezwanie, zgłaszając się do walki. Zazdrościła każdemu, kto poniósł ofiarę na ołtarzu ojczyzny. Oni już nie cierpieli. Cierpienie żywych natomiast trwało.

Koleją Warszawsko – Wiedeńską dojechała do Rogowa. Chłopak, który zgodził się zawieźć ją na pola pod Kołacinem, miał na imię Feliks. Usta mu się nie zamykały, co Antoninę, zmęczoną po podróży, początkowo nieco drażniło. Wyjawiała mu cel swojej wizyty, licząc, że zyska nieco spokoju, ale ten tylko

ożywił się jeszcze bardziej. Okazało się, że na własne oczy widział potyczkę, w której zginął Józef.

– Niech pani popatrzy. – Wskazał falujące złotą pszenicą pole. – To było tutaj. Przy tym zagajniku. Powstańcy zatrzymali się we wsi, żeby napoić konie i posilić się nieco. Widać było, że utrudzeni mocno. Wisiały na nich ubłocone i poszarpane mundury. My ludzie niezamożni, ale daliśmy im jeść i pić. Żał było na nich patrzeć. Pokładli się zmęczeni w stodołach, gdy Pietrek, syn sąsiadów, przybiegł z krzykiem, że Ruskie jadą. Powstańcy skoczyli co sił na konie i dalej odpierać atak. Jak się nie zacznie krzyk, huk i szczęk szabel! Kule świstały między głowami. Jak tylko któryś spadał z konia, to już nie wstawał. Ojciec zabronił mi iść, ale ja musiałem popatrzeć. Przykucnąłem za tym kamieniem i widziałem wszystko.

Antonina patrzyła na dojrzewające zboże, na którym czerwone maki znaczyły się niczym plamy krwi. Właśnie to miejsce Józef widział jako ostatnie. Kobieta starała się zapamiętać każdy szczegół.

– Tamtych było więcej. – Kontynuował swoją opowieść Feliks. – Powstańcy dzielnie walczyli, ale wróg ich rozbił. Najedzeni byli i na naszych strasznie zajadli. Kapitan został trafiony, o tu.

Chłopak przyłożył dłoń do swojego prawego boku. Antonina poczuła w tym miejscu ból. Ale przecież ból, który odczuwał jej brat, musiał być o wiele większy.

– Kozacy kazali nam wozić rannych i zabitych. W chacie naszej położyli kilku, swoich i naszych. Chcieli ratować powstańców, żeby z nich później sekrety jakieś wyciągać albo i na Sybir powysyłać. Kapitan Skrzyński też był u nas. Cały nieprzytomny, coś majaczył w gorączce. Medyk ino kręcił głową, jak go oglądał. Bandaże co i rusz robiły się czerwone, wiele krwi wytracił, niebożę. Aż skonał w naszej izbie. Kozacy już go nie potrzebowali, swoich zabrali i tyleśmy ich widzieli. Tyle nam krwi popsuli, że chociaż nakazali pochować brata pani razem z innymi, myśmy nie chcieli tego zrobić. Pojechalim do proboszcza z Brzezin, żeby on jakoś zaradził. Wiadomym było, że sprzyjał powstaniu. Przyjechał później z jedną panią, co to podobno syna w walce straciła. Zabrali kapitana i pochowali u siebie.

Antonina, zobaczywszy miejsce, w którym umarł Józef, kazała zawieźć się do Brzezin, prosto na jego mogiłę. Tam po raz pierwszy spotkała Emilię Płachcińską, kobietę, której tak wiele zawdzięczała. Nie mogąc inaczej okazać

wdzięczności, padła jej do nóg. Obie zapłakały za utraconymi bliskimi. Pewne rany nie goiły się nigdy.

W Brzezinach zatrzymała się na kilka tygodni, podczas których musiała dopilnować jednej sprawy. Józef umarł bezpotomnie, ona także nie miała dzieci. Wiedziała, że po jej śmierci pamięć o dzielnym powstańcu styczniowym z Czołowa w powiecie wrocławskim zginie w mrokach dziejów. Drewniany krzyż zmurszeje, tabliczka z nazwiskiem zniknie, przysypana warstwą ziemi. Jedynie kamień mógł oprzeć się działaniom niszczycielskich sił natury. Pragnęła, by odwiedzające brzezińską nekropolię przyszłe pokolenia zatrzymały się czasem nad grobem jej ukochanego brata i zmówiły modlitwę za tego, który tak mocno kochał ojczyznę, że oddał za nią życie.

Słońce zniknęło już niemal za horyzontem. Antonina położyła dłoń na ramieniu pani Emilii, dając do zrozumienia, że czas wracać do domu. Kobiety niespiesznym krokiem opuszczały cmentarz, za plecami zostawiając pomnik z wyrytymi słowami:

PAMIĘCI

JÓZEFA

SKRZYŃSKIEGO

ZM. 11 LIPCA 1863

POŚWIĘCA PRZYWIĄZANA SIOSTRA

ANTONINA SKRZYŃSKA

PROSZĄC O MODLITWĘ

### *III miejsce w konkursie „Został w lesie krzyż żelazny”*

**Aleksandra Butkiewicz**

#### **Nie zostało w lesie nic...**

**D**rzwi zaskrzypiały złowieszczo, gdy próbowała wślizgnąć się do domu. Tyle dobrego, że Hanka, jedyna pozostała jej jeszcze służąca, była już stara i sen miała mocny. Modląc się, aby zdradzieckie hałasy nie zwróciły niczyjej niechcianej uwagi, odrzuciła ubłocone kozaki w korytarzu i poczęła ciężkim, mosiężnym kluczem celować w zamek od składziku, drugą ręką nerwowo zrywając z ramion płaszcz.

*Ładne to ich poświęcenie Polsce – pomyślała. – Oto zostaliśmy wszyscy bez ojców i braci, w dziurawych płaszczach, z resztkami jedzenia i służbą jedynie zbyt starą lub leniwą, by uciec.*

Nie powiedziała mu tego jednak. Nie musiała – widział przecież w jej oczach wyrzut, wymieszany dziwacznie z ogromnym, kotłowanym przez lata żalem i – czy tak było naprawdę, czy tylko mu się zdawało? – z pewnym błyskiem dumy. Przyklękła obok, uważając, by nie unurzać rąbka toalety w roztartych plamach krwi, których najwyraźniej próbował wcześniej się pozbyć, cokolwiek nieudolnie. Spośród fałd sukni wymuskała jakąś buteleczkę i przełożyła mu do ust. Nie wypił – choć cały był rozpalony, spojrzenie zachował boleśnie wręcz trzeźwe.

– Skąd to wzięłaś?

Uciekła wzrokiem. Wiedziała, że się domyśli, ale ta nagła, przedśmiertna bezpośredniość, niespodziewane przejście na “ty”, po latach krygowania się i czarowania “panienkami” i “paniczami”, zbiły ją nieco z tropu.

– Pobiegłam do doktora za Kościołem Wniebowzięcia. On lubi się... U niego nocami jest zawsze głośno, nie spał jeszcze.

Niemal wcisnęła mu flakon w wargi, ale nie pił nadal.

– Czym zapłaciłaś?

– Pieniędzmi, a czym – odburknęła natychmiast, ale poczuła, jak twarz zapiekła ją zdradzieckim, czerwonym rumieńcem. Widział przecież, od jak dawna w jej domu pieniędzy po prostu nie bywało.

– Czym zapłaciłaś? – powtórzył i spróbował zerwać się z pokrytej krwią kupy baranich futer. Udało mu się tylko połowicznie, nie wiadomo, czy przez ziejącą w brzuchu czarną dziurę wielkości sporego jabłka, czy przez zdecydowany ruch towarzyszki, która pchnęła go z powrotem na posłanie. Zawył jak dzikie zwierzę, szybko jednak zamilkł, rozglądając się gorączkowo po ciasnym, rozświetlonym dwoma zaledwie świecami składziku.

Wzrok panny złagodniał, choć i ona zamarła na chwilę, nasłuchując, czy aby nagły hałas nie zbudził nikogo. Ujęła jego dłoń i do niej wsadziła buteleczkę.

– Już nie ważne, czym – szepnęła, rozpaczliwie próbując opanować drżenie głosu. – Już po wszystkim, nie ważne, jak... Pij, proszę. Nie wiem nawet, co to za dryjakiew, nie powiedział mi... możliwe, że trucizna. Ale obiecał, że nie będzie bolało, że będzie lepiej...

Wypił w końcu. Całość jednym łykiem, po którym skrzywił się strasznie i wydał dźwięk podobny do tego, jaki zaprawieni w boju entuzjaści trunków procentowych wydają po wypiciu kielicha wódki.

Odkąd pojawił się pod jej drzwiami, drżący i broczący krwią śnieg za sobą, żadne z nich nie powiedziało na głos, że umrze. Nie musieli, było to właściwie oczywiste, a oboje zbyt cenili wagę swoich słów, aby obciążać mowę tak bolesnymi oczywistościami.

*Ładna ta ich wojna* – pomyślała znów panna. – *Najpierw wielkie słowa pod wielkim dębem, o tym jak to uratować mają cały naród, po to tylko, by tydzień już później naród wykrwawiał się na progach ograbionych sojuszników.*

Ale nie robiła mu wyrzutów – bo i po cóż? Rozumiał – i ona też przecież rozumiała, że inaczej po prostu nie mógł, że tak zwyczajnie musiało być, tak jak zwyczajnie co wieczór znika słońce, zwyczajnie co zimę ginie roślinność i zwyczajnie drapieźnik czyha na ofiarę. Musiał po prostu zebrać swe rzeczy, pożegnać matkę, jej posłać liścik i iść, jak i setki innych powędrować do Radogoskiego Lasu. A że pojęcie o wojaczce miał żadne, to i zupełnie zwyczajnym przecież było, że zaledwie tydzień później umierał wśród kurzu, w zaduchu baraniej wełny i kwaśnej woni krwi, bez czapki, którą zgubił, broni, którą stracił i nadziei, której tak naprawdę chyba nigdy nie miał.

Przez przesłonięte serwetą stołową okienko do składziku wdzierało się światło księżyca. Nie miał odwagi patrzeć więcej na jej twarz, więc skupił się na tym świetle, na kurzu tańczącym w nim walca. Chwilę zbierał się w sobie, szykując wykończone ciało do zrywu, aż w końcu zacharczał, usiadł, opierając bezwładnie plecy o zimną ścianę i złapał ją mocno za rękę. Nie wyrwała jej, ale też w żaden sposób nie pokazała, że poczuła dotyk jego zimnych palców na przegubie.

– Wyjdźmy stąd. Wyjdźmy, błagam, chociaż kawałek, chociaż na skraj lasu, na powietrze.

– Zgłupiałeś – odpowiedziała, ale nie spojrzała na niego nawet, ze strachu, że ją przekona spojrzeniem czy gestem. – Nie dojdiesz nigdzie, a nawet jeśli, zostawiasz ślady wszędzie na drodze. Przejdzie patrol i nas oboje zabije, nie obronisz się, nie zdążysz choćby zamrużyć...

– Nie chcę walczyć – przerwał jej, a w jego głosie było coś pełnego rezygnacji, ciężkiej i obojętnej. – Tylko kawałek, przez ulicę i do lasu, żeby ostatni raz odetchnąć przyrodą, żeby nie umrzeć we własnym smrodzie... proszę cię.

Nie odpowiedziała mu, nie zerknęła nań nadal, pokręciła tylko przecząco głową i schowała ją między ramionami.

– A jeśli tu umrę – nie poddawał się – co zrobisz z ciałem? Zakopiesz w ogródku? Spalisz w kominku? Błagam cię, chociaż ten ostatni raz...

Nie chciała mu się poddawać, nie lubiła poddawać się komukolwiek. Ale wstała, cichutko otworzyła drzwi do składziku, po czym pomogła wstać jemu, czy może bardziej oprzeć się o ścianę korytarza, bo daleko jego zgiętej sylwetce było do pozycji jakkolwiek przypominającej wertykalną.

Wsunęła z powrotem kozaki, podała mu szmatę, którą bez słowa przycisnęła do brzucha, aby łąpać krew, dawno przesiąkniętą przez warstwę bandażu. Nie miała w domu laski czy kuli, więc do drugiej ręki wcisnęła mu czarną, żałobną parasolkę ojca. Ot, kolejny pogrzeb, który dane jej będzie oglądać.

Szli powoli, okropnie powoli, nakryci jednym płaszczem, bo jego kapota nie nadawała się już nawet do wycierania podłogi. Szedł z trudem, zgięty wpół, opierając się o nią i o parasolkę, ale głowę uparcie zadzierał do góry i wpatrywał się w księżyc, jakby go zobaczył po raz pierwszy, jakby go miał ostatni raz oglądać. Kamienica stała na obrzeżach, do lasu nie było daleko, a droga była prosta i całkiem równa, ale wydawało jej się, że tym razem trwała całe godziny.

Miasto było wyjątkowo niespokojne tej nocy, z oddali niesły się krzyki, krwawe łuny pożaru błyskały gdzieś za nimi, ale na drodze panowała niezwykła, obezwładniająca wręcz cisza. Wiatr tylko poruszał gałęziami, nierówno, w rytm sobie tylko znanej melodii, starszej pewnie niżli najstarszy człowiek.

Wkroczyli w końcu między drzewa. Tam po raz pierwszy potknął się i runął na ziemię. Upadając stłumił okrzyk szmatą, a uwolniona krew poczęła skapywać, pstrząc się okropnie na białym śniegu. Schwyciła go pod ramiona i szarpnęła do góry, przekonana, że nawet razem nie znajdą już na to siły, że on po prostu się nie podniesie, że umrze w tym śniegu, na skraju lasu. Panicz wytrzymał jednak, chyba tylko ogromnym wysiłkiem woli, bo jego organizm krzyczał każdą cząstką swego jestestwa, aby poddać się i nie walczyć o to, co było nie do zrobienia. Parasol wbił się w grunt, ona stęknęła głucho pod jego ciężarem, ale utrzymali równowagę.

Brnęli dalej, coraz głębiej i głębiej pomiędzy drzewa Radogoskiego Lasu. Tam, gdzie wszystko się zaczęło. I wszystko miało się skończyć.

Zaczęło świtać. Śnieg roziskrzył się złociście, a on najwyraźniej uznał to za jakiś znak, a może naprawdę nie był już w stanie zmusić się choćby do kroku. Padł na ziemię na płasko, z oczyma utkwionymi w rozedrgane na porannym niebie bukowe gałązki. Ona, zbyt wyczerpana, aby zajmować się niebezpieczeństwami i chyba zbyt zrozpaczona, by go w tym momencie opuścić, położyła się obok.

Przez chwilę szukał czegoś ręką po ziemi. Natrafił w reszcie na jakiś patyczek, zdjął zeń korę, rozerwał na pół i zaczął zwijać w jednoznaczny dość kształt. Patrzyła na to w napięciu. Domyśliła się przecież, co robi, ale nie chciała przerywać, nie chciała słowami urzeczywistniać tego, co na razie mogło być niczym, mogło być tylko mglistą wizją, urojeniem umierającego...

Zgadła – zorientowała się, gdy tylko zbliżył do niej koślawe zawiniątko. Zadrżała, próbując znaleźć w sobie siły, by zaprotestować. Ujął jej dłoń swoimi zimnymi, skostniałymi palcami i niezdarnie nazuł uwity z kory pierścionelek na serdeczny palec.

– Nie możesz – wyszeptała niemal bezgłośnie.

– Teraz mogę wszystko – odpowiedział, wyciągając przed nią na dłoni drugą obrączkę.

– Przestań... – dodała, próbując ubrać w słowa to, co oboje wiedzieli od dawna. Że on był przecież *dziedzicem*, paniczem z hetmańskimi korzeniami, a jej rzekome szlacheckie pochodzenie ojciec wykupił wcale niedawno matactwami

i ostatkami oszczędności. Że on miał trzydzieści morgów ziemi i fabrykę, a ona tylko tę kamienicę, i to nawet nie na własność. Że on miał wszystko, a ona nie miała nic.

Ale po raz kolejny nie musiała tego mówić – bo on przecież wiedział, zawsze wiedział, ilekroć na nią spojrzał, dogłębnie i dokładnie rozumiał to, czego duma nie pozwalała jej powiedzieć.

– Teraz mogę już wszystko – uśmiechnął się jakoś gorzko – Ha, właśnie, teraz gdy właściwie nie mogę już nic...

Nie protestowała więcej. Co by to zmieniło, skoro i tak umierał – widziała to coraz wyraźniej w jego blednącej twarzy, drżącej sylwetce, szklanych oczach. Mocniej wcisnęła kawałek kory na palec.

– Biorę Cię za męża. – Nie zabrzmiała wcale pewnie. Ale nie było już odwrotu. – Ślubuję miłować Cię i szanować, być wierną i uległą, i nie opuszczać Cię... aż do śmierci – dodała cicho. Nie zaśmiał się, zabrakło mu chyba na to powietrza, ale w oczach przez chwilę błysnęło coś wesołego. Ona też dostrzegła kpinę losu.

*Ładna ta przysięga. Aż do śmierci. Aż na godzinę.*

Wyszeptał swoją część. Wzięła z jego ręki drugą obrączkę i nasunęła na sztywny od zimna palec. Serce ścisnęło jej się dziwnym, odległym żalem. Nie tak wyobrażała sobie swój ślub i, choć wydało jej się to absurdalne, przez krótką chwilę zatęskniła do białej sukni, kolorowych kwiatów i wonnych kadzideł. Fragment z prośbą o pomoc Boga i Trójcy Świętej w zachowaniu małżeństwa zgodnie pominęli. Po cóż mieliby zaprzętać boską głowę swym sakramentem, gdy tak mało w nim było świętości? Bez księdza, ołtarza i gości, za świadków mający jedynie bezlistne buki, musieli zadowolić się białym śniegiem, kolorowym błyskiem jutrzeńki i metaliczną wonią krwi.

Słońce wschodziło coraz wyżej, a oni leżeli tak, niezdolni by zmusić swe członki do jakiegokolwiek wysiłku. Panna wsłuchiwała się wciąż w drżący oddech panicza, z każdą minutą mniej płynny, płytszy, bardziej spazmatyczny. Choć wydawało jej się, że straciła nadzieję już dawno, już widząc jego zakrwawioną postać na progu, dopiero teraz bezradność ogarnęła jej duszę z całą mocą, skrępowała klatkę piersiową niczym o wiele za ciasny gorset.

W końcu uświadomiła sobie, jak długo żaden rozpaczliwy oddech nie nadchodził z jego ust. Wiedziała to – nie mogła przyznać przed samą sobą, ale przecież doskonale wiedziała – musiał umrzeć. Usiadła, wysuwając swoją dłoń

spośród chyba – ba, już na pewno! – martwych palców. Ogarnęła ją okropna złość, wobec wszystkiego i wobec wszystkich – tych powstańców, co go omamili, tej partii, co go zabrała, tych Moskali, co go poranili, tego Boga, co na to pozwolił... Złość rozlewała się po jej wnętrznościach gorzką, gorącą strugą. Nie zauważyła nawet tej chwili, gdy dusza opuściła jego ciało na zawsze!

Przez moment nie mogła nawet drgnąć i tylko patrzyła na jego nieruchomą, bladą twarz, aż nagle, bez żadnego ostrzeżenia poczuła, jak łzy zaczynają spływać po jej policzkach, jak dusi się szlochem, powieki parzą od spazmatycznego płaczu, ramiona trzęsą się zupełnie niezależnie od woli. Chciała to przezwyciężyć, zająć się najpierw tym, co istotne, a na płacz pozwolić sobie później, w domu, tam, gdzie będzie bezpiecznie i nawet ptaki nie będą świadkami jej słabości, ale wycieńczony organizm zupełnie nie słuchał tego, co próbowała mu przekazać. Trzęsła się nadal i szlochała pod drzewem buku, przykuta do ziemi obok tego, który jeszcze tydzień wcześniej obiecywał jej w liście złote góry i gruszki na wierzbie, który jeszcze wczoraj wędrował do niej przez wiele godzin, brocząc krwią cały chyba las, który jeszcze przed chwilą włożył jej na palec obrączkę...

Zzula ją ze złością. Zamierzała cisnąć kawałek kory daleko w śnieg, ale nie potrafiła się do tego zmusić. Zamarła, z twarzą czerwoną i błyszczącą od łez, ręką wzniesioną w przerwany geście. Po chwili wsunęła żałosny przedmiot do kieszeni, tam, gdzie kilka godzin wcześniej niosła buteleczkę z lekiem.

Nie przemyślała tego, jak chciałaby go pochować, choć przecież wiedziała, że będzie musiała to zrobić, że to ona będzie ostatnią, widzącą go żywego. Nie wzięła ze sobą niczego, co mogłoby pomóc, nie była w stanie myśleć trzeźwo, nie było już zimna, nie czuła już nic. Zaczęła rozgarniać zmarznięty grunt rękoma, raniąc dłonie, pozwalając ziemi wchodzić pod i tak uwalane krwią paznokcie. Powstałe w ten sposób zagłębienie w żadnym wypadku nie przypominało głębokością grobu, sięgało może ze dwa łokcie w dół. Musiało wystarczyć. Wciągnęła do niego ciało i przysypała je grubą warstwą śniegu.

Niech śpi. Tak mu będzie lepiej...

Nie chciała, żeby ktoś go tu znalazł. Obraz wielkiego poświęcenia, które nic nie dało. Które – jak była pewna – nie mogło nigdy, w żadnym absolutnie wypadku, nic dać. Wiedziała, wiedziała przecież, że musiało tak być, że on musiał zrobić to, co zrobił, że oni wszyscy musieli. Dlaczego więc wciąż się trzęsła, a łzy wciąż spływały jej po twarzy?

Krzyżyk zdjęła z szyi. Mały, żelazny, otrzymany od ojca, gdy wychodził z domu pewnego wieczoru, mając nigdy już doń nie wrócić... Powiesiła go na

gałęzi, kilka kroków od prowizorycznego grobu. Zlewał się ze srebrem kory bukowej już z odległości trzech kroków. Śnieg zaczął padać, przykrywając byłego powstańca nowymi warstwami miękkiego puchu. Gdyby o tym nie wiedziała, nie domyśliłaby się nigdy, że ta zaspą nie była jedynie przysypanym kamieniem czy zwałonym pniem, że leżał tam człowiek..., że leżał tam on.

*Ładna ta ich wojna – stłumiła kolejną falę szłochu, podnosząc się z ziemi.  
– Był wielki pan i dziedzic, bohater narodowy, powstaniec i patriota, a oto nie zostało w lesie nic. Tylko śnieg i krzyż żelazny...*

### *III miejsce w konkursie „Został w lesie krzyż żelazny”*

**Dorota Początek**

#### **Został w lesie krzyż żelazny...**

**B**yło ciepłe październikowe przedpołudnie. Słońce próbowało przebić się przez gęste chmury, wiatr delikatnie głaskał korony drzew, które zaczynały mienić się różnymi odcieniami kolorów: zielonego, żółtego, pomarańczowego... Razem z moją siostrą bliźniaczką, Agatą, szliśmy krok w krok za dziadkiem, kopiąc żołędzie, które spadły z drzew i głośno wzdychając. Była sobota, długo wyczekiwany przez wszystkich uczniów dzień wolny od szkoły. Obie chciałyśmy spędzić ten czas po swojemu: śpiąc do południa, odpoczywając, grając w nową grę, spotykając się z przyjaciółmi. Tymczasem rano dziadek odwiedził nas i poprosił, żebyśmy towarzyszyły mu w wyprawie na stary cmentarz w naszej miejscowości. Nie mogłyśmy się wykręcić, chociaż przez myśl przemknęło mi, żeby powiedzieć, że muszę się uczyć, a Agata zaczęła nieśmiało przebąkiwać o zapowiadanych sprawdzianach i kartkówkach. Dziadek spojrzał na nas w taki sposób, że domyśliłyśmy się, że bardzo mu zależy na tym, abyśmy razem poszli na cmentarz. Nie chciałyśmy sprawić mu przykrości i zgodziłyśmy się.

Założyłyśmy kurtki i wyszłyśmy z domu z nadzieją na to, że szybko będziemy z powrotem i zajmiemy się tym, co miałyśmy zaplanowane, czyli leniuchowaniem i graniem na telefonach. Nasza miejscowość, Bąkowa Góra leży na terenie województwa łódzkiego. Z tym miejscem wiąże się wiele legend i podań z czasów średniowiecznych. Jedną z nich opisał nawet w swej książce zatytułowanej „Jelita” pisarz Józef Kraszewski. Strażnikami pamięci dawnych wydarzeń są dziś w Bąkowej Górze ruiny niewielkiego zamku, dworek i murowany spichlerz położone na niewielkim, ale malowniczym, zwłaszcza jesienią, wzniesieniu. Nieopodal tych budowli znajduje się piękny, zabytkowy kościół i stary cmentarz, który mieliśmy odwiedzić. Po drodze kupiliśmy jeszcze dwa znicze i niewielki bukiet kwiatów. Wkrótce byliśmy już na miejscu. Dziadek wolnym krokiem poruszał się między grobami, kluczył, zachowywał się tak,

jakby nie mógł znaleźć drogi. Byłyśmy zdziwione, skąd ta niepewność u jedynej osoby w naszej rodzinie, która z zamkniętymi oczami mogła trafić na groby bliskich. Zanim jednak o cokolwiek zapytałyśmy, dziadek uśmiechnął się do nas:

- No, udało się! Jesteśmy na miejscu.

Obie z Agatą popatrzyłyśmy na siebie ze zdziwieniem. Stałyśmy przed sporych rozmiarów grobem, który wyróżniał się na tle innych: Nad pomnikiem górowały dwa krzyże, z przytwierdzonymi do nich biało-czerwonymi flagami, którymi dziś delikatnie powiewał wiatr. Na tabliczkach nie było wyrytych znanych nam nazwisk osób z rodziny czy przyjaciół dziadka, tylko dwa obce.

- Dziadku, kim są Tomasz Gosławski i Jan Piekarski? Czy to nasza rodzina? Dlaczego nas tu przyprowadziłeś? - zapytałyśmy zaskoczone i trochę zaniepokojone.

- Ci dwaj młodzi chłopcy nie byli członkami naszej rodziny, są jednak dla nas bardzo ważni. Przyprowadziłem was tutaj po to, byście ich bliżej poznały –

powiedział dziadek, po czym usiadł na ławeczce, która stała przy pomniku, westchnął i zaczął swoją opowieść...Jesienne poranki stawały się coraz bardziej dokuczliwe. Mgły unoszące się nad podmokłymi terenami okolic Przedborza długo nie pozwalały, by słońce rozbłysnęło w całej okazałości. Wszechogarniająca wilgoć sprawiała, że chłód był coraz częstszym towarzyszem ukrywających się żołnierzy i ich koni. Niewielki oddział Powstańców Styczniowych rozbił swój obóz po kilkugodzinnej wędrówce pod miejscowością Bąkowa Góra. Droga nie była wymagająca dla doświadczonych jeźdźców: tworzyły ją leśne trakty, polne drogi i lekkie wzniesienia, którym bliżej było do pagórków, niż do gór. Sęk w tym, że oddział powstańczy był już głodny, zmęczony i zrezygnowany. Nie powinno to nikogo dziwić - był 9. października 1863 roku. Minęło już kilkamiesiące od rozpoczęcia walki o niepodległość, o zrzucenie jarzma zaborcy. Na początku Rosjanie byli całkowicie zaskoczeni zrywem Polaków, którzy odważnie sprzeciwili się „brance”. Pierwsze zwycięstwa dodały sił umęczonemu narodowi polskiemu, zarówno walczącym żołnierzom, jak i zwykłym ludziom, żyjącym w miastach, miasteczkach i wioskach. Z czasem jednak zaborca podjął starania, by stłumić walki. Wezwano posiłki, uzbrojono armię i wkrótce szala zwycięstwa zaczęła przechylać się na korzyść Rosjan. Przykładem tego była potyczka pod Przedborzem, która miała miejsce 25. czerwca 1863 roku. Oddział Józefa Oksińskiego został wtedy rozбит, polscy żołnierze wycofywali się bezładnie, udając się na północ. Garstka powstańców została jednak na tych terenach. Przez jakiś czas ukrywali się, po kilku tygodniach

zapadła jednak decyzja, by Powstańcy stworzyli niewielkich rozmiarów oddział. Jego dowódcą był porucznik Teofil Rudzki.

Owego jesiennego popołudnia powiódł wzrokiem po twarzach swoich towarzyszy. Byli głodni, zmęczeni, ale nie to było najgorsze. W oczach żołnierzy coraz częściej pojawiało się zwątpienie. „Czy walka z dobrze uzbrojonym, mającym przewagę wrogiem może zakończyć represje?” Te i inne pytania kołatały po głowach powstańców, coraz częściej mając odbicie w wyrazie ich twarzy. Porucznik Teofil wiedział jednak, że musi wlać otuchy w serca swoich ludzi: - Żołnierze! Przez długi czas byliśmy świadkami, jak okrutny zaborca coraz śmielej poczynął sobie na polskiej ziemi. Grabiąc, niszcząc i próbując zdeptać nasze korzenie, chwałę przodków i polską mowę. Car Rosji przekonywał Europę i cały świat, że nie ma takiego kraju, jak Polska. A ja powiem wam jedno: dopóki nasi rodzice przekazują pamięć o dawnej chwale, dopóki mówimy w ojczystym języku, dopóki my trzymamy broń, Polska istnieje i nie zostanie zdeptana! Ja wierzę w to, że Polska wróci na mapy i że o Polakach będzie mówić cały świat!!!

- Niech żyje Polska! Wiwat Polacy! - zakrzyknęli podniesieni na duchu żołnierze. Po słowach Porucznika czuli, jak odwaga przepełnia ich serca, zrozumieli też, że ich działania mają sens, nawet jeśli oddział został rozbity, a ledwie garstka powstańców ocalała.

- Czekaj nas długa droga, ale w końcu połączymy swoje siły z innymi oddziałami, wspólnie przeciwstawimy się wrogowi! - wykrzykiwał porucznik Teofil Rudzki. - Ruszamy!

Podniesieni na duchu Powstańcy zaczęli przygotowania do drogi. Wśród nich byli przyjaciele: Tomasz Gosławski i Jan Piekarski. Obaj pochodzili z miejscowości oddalonych od siebie o kilkanaście kilometrów: z Paskrzyna i Sulejowa. Choć wcześniej nie mieli okazji, by się poznać, szybko znaleźli wspólny język. Byli przecież bardzo młodzi, chcieli uciec przed „branką”, przede wszystkim jednak mieli dość okrucieństwa stosowanego przez zaborcę i nie widzieli innego sposobu na przeciwstawienie się Rosjanom. Po wysłuchaniu przemowy ich dowódcy, Teofila Rudzkiego, obaj nie mogli już doczekać się wymarszu. Przygotowywali swoje konie do odjazdu, zbierali ekwipunek, sprząтали obozowisko.

- Nasz porucznik to wspaniały przywódca! On wie, jak dodać nam odwagi!  
- powiedział zachwycony Tomasz.

- Już za parę dni dotrzemy do dużego oddziału powstańczego. Tam będziemy walczyć ramię w ramię i pokażemy tym zaborcom, gdzie ich miejsce!

- wykrzyknął Janek.

- Uciekną, gdzie pieprz rośnie! - zaśmiał się Tomek.

Jego przyjaciel już szykował jakąś ripostę, gdy nagle rozległ się przeraźliwy hałas. Z kilku stron dobiegał tętent koni, krzyki, strzały z broni... Wszystko działo się bardzo szybko, ale wystarczyła chwila, by żołnierze uświadomili sobie, że zostali otoczeni i wpadli w zasadzkę! Przerażone konie zaczęły rzeć i podrywać się do ucieczki, huk strzałów i krzyki rozlegały się ze wszystkich stron. Wróg zaatakował!

Oddział przeciwnika tworzyło zaledwie kilku jeźdźców, byli oni jednak lepiej uzbrojeni, niż Powstańcy. Kozacy całkowicie zaskoczyli zmęczonych wędrowców, przyczaili się i zaatakowali w chwili, gdy Polacy byli zajęci przygotowaniem do wyruszenia w dalszą drogę. Polscy żołnierze w pośpiechu chwycili za broń i próbowali rozgromić wroga. Zapanował chaos, który próbował przezwyciężyć porucznik Teofil Rudzki:

- Chłopcy, do broni! - zagrzewał do walki swoich kompanów.

Odpowiedzią na okrzyk porucznika była zacięta walka, jaką podjęli jego żołnierze. Z każdą chwilą jednak do Polaków docierało, że ta bitwa nie może być przez nich wygrana. Tak też się stało: oddział porucznika Rudzkiego został całkowicie rozgromiony przez Kozaków. Żołnierze uciekali z miejsca bitwy, pomagając swym rannym towarzyszom, kilka spłoszonych koni rozbiegło się po okolicy w szaleńczym pędzie...

Stopniowo huk wystrzałów, krzyki i inne odgłosy bitwy ucichły. Jeszcze tylko przez jakiś czas po lesie rozlegało się echo śmiechu rosyjskich żołnierzy, którzy mieli powody do radości: wypełnili swoją misję i pokonali „buntowników”. Wkrótce jednak w lesie nastała cisza. Żaden ptak nie przemknął nad polaną, gdzie poległo w walce dwóch młodych ludzi: Tomasz Gosławski i Jan Piekarski. Obaj mieli swoje marzenia i plany na przyszłość. Obaj chcieli żyć w wolnej Polsce, w kraju, w którym można mówić w ojczystym języku, gdzie obowiązują prawa ustanowione przez prawowity rząd, a nie narzucone przez obcokrajowców, gdzie mieszkańcy i ich dzieci mogą korzystać z przywilejów. Dlatego właśnie chwycili za broń...Dwaj przyjaciele, którzy polegli w starciu z Rosjanami zostali pochowani na cmentarzu parafialnym w miejscowości Bąkowa Góra. Spoczęli tuż obok siebie, gdyż śmierć złączyła ich okrutnym losem. Nad ich grobami wznosiły się dwa krzyże, prosząc o modlitwę każdego,

kto znalazł się na cmentarzu. Pamięć o ich bohaterskim czynie przetrwała wśród okolicznych mieszkańców, choć przecież ich rodzinne domy znajdowały się dość daleko.

Wiele lat później miejsca pochówku dwóch Powstańców Styczniowych zostały wyjątkowo upamiętnione: stanął tam zjawiskowy pomnik, nad krzyżami rozpostarły się dwie białe-czerwone flagi. Na grobie złożono kwiaty, zapłonęły znicze. Pamięć o Tomaszu i Janku przetrwała kolejne lata. Przez ten czas nasza ojczyzna została wystawiona na wiele prób: powstania, wojny, bitwy, potyczki... Panteon bohaterów, którzy oddali swoje życie za ojczyznę rozrósł się do ogromnych obszarów. Mimo to, warto pamiętać o tych młodzieńcach, którzy zginęli w lesie dawno temu, w 1863 roku. Dlatego przyprowadziłem was tutaj - zakończył swoją opowieść dziadek.

Razem z Agatą nie mogliśmy powiedzieć ani słowa. Zrozumialiśmy, co dziadek chciał nam przekazać. Przez chwilę stałyśmy w milczeniu nad grobem powstańców, jakby była to forma modlitwy. Potem dziadek wstał z ławeczki i powoli, w zadumie ruszyliśmy ku wyjściu z cmentarza. Październikowe słońce nie dawało za wygraną i ogrzewało nasze twarze z całą swoją mocą. Nagły podmuch wiatru strącił garść pożółkłych brzoźowych liści. W powietrzu czuć było wilgoć, tak jak wtedy, 9. października 1863 roku...

**Julia Kozłowska**

**„Jakub Bem i srebrne orły”**

**W** styczniu 1863 roku Polacy znów chwycili za broń, ponieważ chcieli zerwać więzy niewoli. Mieli już naprawdę dość rosyjskiego panowania. Przeszkadzało im to, że nie mieli żadnych swobód, że szalała cenzura, że prześladowano katolików. Był to strasznie nierówny bój, ponieważ carskie wojsko było wyśmienicie wyszkolone, co utrudniało Polakom wygraną. Mało tego, naszym powstańcom brakowało uzbrojenia. Mimo to Rosjanom nie udało się błyskawicznie zdławić buntu. Rebelia ogarnęła również ziemię sieradzką. Tu działały partie powstańcze Oksińskiego, Drohomireckiego, Taczanowskiego.

Po parku w Charłupi Małej, dziś już nieistniejącym, przechadzał się Jakub Bem. Był to wysoki, postawny mężczyzna w średnim wieku, ubrany w ciemnogrnatowy surdut staroświeckiego kroju. Jakub był ostatnim właścicielem niewielkiej wsi Charłupia Mała. Jego bliskim krewnym był słynny generał Józef Bem. Jakub mieszkał w dość dużym, drewnianym dworku nieopodal kościółka ufundowanego przez ród Walewskich. Na posesji znajdował się piękny ogród botaniczny pełen przeróżnych, różnokolorowych kwiatów. W parku rosły majestatyczne wiązy, klony i dęby. Wnętrze dworku było przytulne i liczyło dwadzieścia staroświeckich, przepięknych pomieszczeń. Bem mieszkał tu wraz ze swoją kochającą żoną, młodymi córkami i synem o imieniu Julek. Wcześniej posiadłość należała do rodu Zabłockich.

Bem któregoś styczniowego, śnieżnego popołudnia udał się w odwiedzinę do swojego najbliższego sąsiada, który mieszkał naprzeciwko kościoła w małym, przytulnym domku. Ten ugościł go serdecznie, przygotował przekąski, ciepłą kawę i zaczęli rozmawiać. Po pewnej chwili spojrzeli za okno. Ujrzeni zbiorowisko ludzi maszerujących w kierunku kościoła. Tłum był naprawdę gęsty. Byli to przeważnie młodzi ludzie, niektórzy jechali konno. Wielu spośród nich trzymało w ręku kosy, szable, a nieliczni broń palną. Wiwatowali i wznosili

okrzyki. Padło kilka wystrzałów z broni. Panowała dawno tu niewidziana euforia. Bem i sąsiad nie od razu zrozumieli, że to rebelianci. Dopiero po czasie skojarzyli fakty. Wieści o wybuchu powstania nie rozchodziły się tak szybko na prowincji. Sąsiad natychmiast zapytał Bema, jakie jest jego zdanie na ten temat. Sam nie należał do tchórzy, ale w rozmowie z Bemem był bardzo ostrożny.

- Nie wierzę, że powstańcom uda się odnieść sukces - powiedział chłodno Bem. – To szaleństwo, które skończy się rzezią. Nic dobrego z tego nie będzie. Lepiej, żeby wszyscy wrócili do domów. – dokończył Bem i patrzył z politowaniem na grupkę ludzi, którzy powoli udawali się w stronę Sieradza.

Gdy za oknem zrobiło się już naprawdę ciemno, Jakub postanowił wrócić do swojego ciepłego domu i opowiedzieć o zaobserwowanym zdarzeniu swojej najbliższej rodzinie, która zachowywała dystans wobec patriotycznych uniesień. Bem był przeciwnikiem powstań i buntów. Owszem jako młodzieniec służył w stopniu oficerskim w powstaniu listopadowym, lecz nie podzielał entuzjazmu Piotra Wysockiego i jemu podobnych. Z biegiem lat zaczął utrzymywać przyjazne stosunki z Rosjanami, goszcząc ich w swoim dworku. Na ogół jednak rozpowiadał, że trzyma z powstańcami i pomaga im finansowo. Okoliczni ludzie nie darzyli go sympatią. Był człowiekiem raczej zamkniętym w sobie i nieufnym. Służba skarżyła się, że miał twardą rękę.

Tak minęło kilka tygodni. Kiedy za oknem padał śnieg, Bem wraz ze swoją żoną przygotowywał obiad, oczekując na powrót dzieci do domu. Minęła jedna, druga i trzecia godzina, a Julka nadal nie było. Rodzice zaczęli już się powoli martwić, ale tłumaczyli to sobie tym, że pewnie miał więcej lekcji i wróci później. Zająli się codziennymi obowiązkami. Wówczas minęła czwarta godzina nieobecności Julka. Ojciec zaczął się bardzo martwić. Chciał od razu wyruszyć na poszukiwania, lecz żona go powstrzymała. Uspokajała go, choć sama powoli traciła nadzieję na to, że Julek jeszcze dzisiaj wróci do domu. Mijały kolejne godziny i minuty, po Julku nie było ani śladu. Na drugi dzień rano, gdy chłopca nadal nie było, Jakub wraz ze swoją żoną ruszył na poszukiwania. Zasięgali języka wszędzie, gdzie się dało. Bem był bardzo smutny z tego powodu, bardzo kochał swojego syna. Taka strata była dla niego bolesna. Mimo to nie tracił resztek nadziei na odnalezienie syna. Szukali go po całej wsi. W końcu w jednej z karczm powiedziano mu w tajemnicy, że widziano Julka w obozie powstańczym. Ojciec nie mógł w to uwierzyć. Dopiero po jakimś czasie przypominał sobie, że Julek nie znosił Rosjan, że nie lubił ich języka. Był bardzo żywiołowy i spontaniczny. Ojciec zrozumiał, że syn mógł tak się zachować. Bem był bardzo przejęty. Poszedł

sam do charłupskiego kościoła i zaczął prosić Boga o powrót syna do domu. Był zrozpaczony. Jakub na ogół nie był wrażliwą osobą, ale w takiej sytuacji nie mógł ukryć wzruszenia. Leżał krzyżem przed cudownym obrazem Matki Boskiej i błagał o litość. Tak czynił przez kilka kolejnych wieczorów. Gdy minęło kilka tygodni, zaczął pić. Pił i pił. Starał się o wszystkim zapomnieć. Już nic mu nie pomagało. Stracił też już nadzieję na powrót syna. Z czasem coraz częściej zapraszał rosyjskich urzędników, z którymi grywał w karty i biesiadował. Nie umknęło to uwadze mieszkańcom parafii i ziemianom z okolicznych dworów, którzy na ogół poparli zryw.

Pewnego wiosennego wieczora Jakub Bem gościł dwóch Rosjan. Spotkanie przebiegało w serdecznej atmosferze. Nie mogło zabraknąć alkoholu i kart. Nagle jeden ze służących wtargnął do pokoju i ostrzegł gospodarza:

- Jaśnie panie, powstańcy! Są już niedaleko!

Rosjanie zerwali się na równe nogi. Marny byłby ich los, gdyby wpadli w ręce Polaków. Podejrzewali, że to gospodarz, Polak wydał ich w ręce buntowników.

- Prędej, uciekajcie przez Wolę Dzierlińską! – zarządził Bem. Wiedział, że tędy biegnie niebezpieczna droga, bo nad rzeczką pełno jest mokradeł i torfowisk, ale też pościg tamtędy nie przejdzie.

Moskale w pośpiechu zabierali swoje ubrania, osiodłali konie i rzucili się do ucieczki. Nie minął kwadrans, gdy powstańcza żandarmeria okrążyła charłupski dwór. Młody powstaniec śmiało wkroczył do gabinetu Bema. Wyglądał na zdeterminowanego. W ręku trzymał dwururkę. Wymierzył strzelbę w pierś Bema.

- No, waść, szykuj się na stryczek. Już my wszystko wiemy, jaki z ciebie Polak. Z Moskalami się zadajesz, winem ich częstujesz, w karty z nimi grywasz!

Bem zrobił się blady jak ściana. Zachował jednak zimną krew.

- Pozwól, młody człowieku, że wpierw pożegnam się z żoną i córkami. Tego mi nie zabronicie?

- Byle szybko – odparł powstaniec. – Dwór otoczony, nie próbuj uciekać. Zapłacisz głową za zdradę.

Bem wszedł do pokoju dam, gdzie jego żona okrutnie lamentowała. Szloch córek wzruszył ojca. Postanowił w tej ostatniej godzinie założyć galowy mundur

z 1830 roku. Pokazać powstańcom, że i on ponad trzydzieści lat wcześniej walczył o wolny kraj.

- No, panowie, jestem do waszej dyspozycji – Bem hardo odpowiedział i zbliżył się do napastników.

Ci, zbici z tropu, oglądali piękny paradny mundur z niejakim respektem. Oto stał przed nimi oficer wojsk polskich, który służył pod Prądyńskim i Chłopskim. Czy aby na pewno rozsądna byłaby ta egzekucja? Powstańcy zaczęli się wahać.

- Słuchaj, waść. Zasłużyłeś na stryczek za bratanie się z naszymi oprawcami. Damy ci jeszcze jedną szansę. Zmień swoją postawę, przyłącz się do nas. Ojczyzna ci wybaczy dawne przewiny. Razem pogonimy zaborców. Masz pieniądze, możesz utworzyć spory oddziałik.

Bem pozostawał nieugięty. Czuł, że uniknął śmierci.

- Idźcie swoją drogą, panowie, przyszłość pokaże, czy miałem rację, Ja służę ojczyźnie na swój sposób. A tym Rosjanom specjalnie dałem się ogrywać. Mój syn jest w oddziale pułkownika Taczanowskiego.

Żandarmi bez słowa opuścili dwór. Bem osunął się na wielki fotel. Kamień spadł mu z serca. Pot zrosił mu twarz. Żona z córkami objęły mocno przejętego ojca. To było za dużo wrażeń dla niemłodego już człowieka.

Niedługo po tych dramatycznych wydarzeniach Jakub Bem postanowił wejść do kościoła. Kazał kościelnemu otworzyć drzwi. Został sam. Zawiesił na cudownym obrazie Matki Bożej Charlupskiej dwa orły haftowane srebrną nicią. Pochodziły one ze starego sztandaru, który musiał być przechowywany od wielu lat w rodzinie Bemów. To dar wdzięczności za ocalone życie. Bem chciał też w ten sposób naprawić swoją podupadłą reputację. Dziś niewiele o tym wie, bo w prezbiterium kościoła wisi wielki tryptyk, który przedstawia Bema jako żarliwego patriotę z wielkim orłem na piersi. Tymczasem prawda o tym człowieku jest bardziej skomplikowana.

Julek niebawem powrócił z powstańczej tułaczki. Jego oddział stoczył kilka potyczek, lecz musiał ulec przygniatającej sile wroga. Syn Jakuba uniknął niewoli i zesłania. Ojciec powitał go jak syna marnotrawnego. Nakazał urządzić ucztę. Wkrótce Julek wyjechał do Rosji i tam osiadł na stałe. Znalazł sobie posadę w rosyjskim sądownictwie. Czy uległ rusyfikacji? Być może nie. Z pewnością nie chwalił się powstańczą przeszłością. Po powstaniu majątek Bemów przejęli miejscowi chłopci i w ten sposób uwłaszczyli się. Dziś nie ma już śladu po dworze,

który mieścił w sobie tyle tajemnic. Na miejscowym cmentarzu nie zachowała się też ani jedna mogiła rodziny Bemów. Jedynie dwa srebrne orły po dzień dzisiejszy dumnie spoglądają z cudownego ołtarza.

## 160 lat pamięci – Powstanie Styczniowe

W bieżącym roku obchodziliśmy 160 rocznicę wybuchu powstania styczniowego, największego polskiego zrywu niepodległościowego w historii Polski. Polska jako państwo nie istniała, ale jako naród żyła i pragnęła wolności. Polacy pragnęli wolności. Powstanie styczniowe wybuchło 22 stycznia 1863 roku. Za jego początek uznaje się datę wydania Manifestu 22 stycznia przez Komitet Centralny Narodowy. Decyzja o przyspieszeniu wybuchu powstania została sprowokowana przez naczelnika rządu cywilnego Królestwa Polskiego, margrabiego Aleksandra Wielopolskiego, który zarządził tzw. brankę, czyli przymusowy pobór młodych mężczyzn do wojska rosyjskiego.

Pierwszym dyktatorem powstania został gen. Ludwik Mierosławski (17 II – 11 III 1863r.), drugim – gen. Marian Langiewicz (11 – 18 III 1863r.), a ostatnim gen. Romuald Traugutt (17 X 1863 – 10 IV 1864r.). Powstanie miało charakter wojny partyzanckiej, po polskiej stronie walczyło około 200 tysięcy osób, zarówno z rodzin szlacheckich, jak też w dużo mniejszym stopniu z chłopstwa i mieszczaństwa. Zasięgiem objęło ziemie zaboru rosyjskiego, czyli Królestwa Polskiego oraz ziemie zabrane.

Mimo, że powstańcy ostatecznie przegrali, wspominamy dzisiaj tamte dwa lata tragicznej walki, aby uczcić tych, którzy poświęcili lub ryzykowali życie i z bronią w ręku zmagali się o wolność ojczyzny. Siły powstańców styczniowych nie miały ani sprawnego dowodzenia, ani zasobów broni, ani pieniędzy, ani wsparcia międzynarodowego. Wielki polski zryw niepodległościowy od pierwszych godzin skazany był na porażkę. Dysproporcje sił były ogromne. Strzelby i kosy przeciwko armatom i karabinom. Walczący powstańcy mieli tylko jedną przewagę nad sprawnym carskim aparatem wojskowo-administracyjnym – był to gorący patriotyzm, entuzjazm i wielki zapał do walki. Porównanie sił i środków militarnych wypadało dla Polaków fatalnie. Już w pierwszych dniach insurekcji wyszło na jaw, że nie ma jednolitego dowództwa. Tymczasowy Rząd Narodowy ustanowił w każdym województwie naczelników wojskowych, którym miały podlegać wszystkie władze lokalne. Okazało się jednak, że żaden z nich nie może zbrojnie wygrać z oddziałami rosyjskimi, a planu koordynacji wojskowej

zabrakło. Powstanie styczniowe miało formę wojny partyzanckiej. Stoczono łącznie około 1200 bitew i potyczek. Brało w nim udział oko dwustu tysięcy ludzi.

W czasie powstania styczniowego Sieradz i okolice były miejscem wielu bitew i potyczek. Głównym organizatorem powstania w Sieradzkim był Józef Oksiński herbu Oksza, który dotarł do Sieradza 17 stycznia 1863 r. i przy pomocy naczelnika powstańczego miasta organizował w lasach koło Miedźna pierwszą „partię” powstańczą. Za punkt zborny wyznaczył lasy w okolicach Miedźna. W nocy z 21 na 22 przybyło 28 mieszkańców Sieradza, zaś 23 dotarło kolejnych 59. Zdobycie miasta Sieradza dla tak niewielkiego oddziału było zadaniem nierealnym, gdyż w mieście stacjonował silny oddział wojsk rosyjskich, poza tym miasto zostało zamknięte, aby się do niego dostać lub wyjechać trzeba było posiadać specjalną przepustkę. Obok oddziału Oksińskiego w sieradzkim zaczęły pojawiać nowe oddziały np. oddział dowodzony przez Wawrzyńca Centa, który wkroczył do Zduńskiej Woli i skonfiskował broń niemieckiego Bractwa Kurkowego, po czym wkrótce przestał istnieć. Niepowodzenia doznał też oddział zorganizowany przez Makarego Drohomireckiego, który przedostawszy się na teren sieradzkiego, krążąc po okolicy, głosił hasła uwłaszczeniowe w celu przyciągnięcia chłopów do udziału w walkach zbrojnych Powstania. Oddział ten został niebawem, bo 15 lutego 1863 r. rozбитý pod Pyszkowem. Z początkiem marca napłynęły nowe oddziały pod dowództwem Teodora Cieszkowskiego i Napoleona Urbanowskiego. Oprócz wyżej wymienionych stacjonowały tutaj również oddziały pod dowództwem gen. Edmunda Taczanowskiego, płk. Matuszewicza, płk. Franciszka Kopernickiego, rtm. Józefa Miśkiewicza, płk. Kajetana Słupskiego, por. Powidzkiego, por. Pawła Nowickiego, por. Wincentego Pągowskiego, mjr Józefa Androszka, kpt. Jana Birtusa oraz Józefa Kozłowskiego. W okresie powstania styczniowego stoczono w regionie sieradzkim kilkadziesiąt walk, wiele z nich zakończyło się klęską powstańców, były też sukcesy, jak choćby bitwa pod Sędziejowicami. W dniu 26 sierpnia pod Sędziejowicami rozegrała się bitwa między oddziałem powstańców gen. E. Taczanowskiego a szwadronem grodzieńskich huzarów rotmistrza von Grabbego, wspomaganym przez kozaków dońskich. Rosjanie w obliczu grożącego im niebezpieczeństwa schronili się w dwóch chałupach, ale po ich podpaleniu uciekli na pobliski cmentarz. Główny szturm, jaki wykonał na cmentarz drugi szwadron kawalerii gen. E. Taczanowskiego pod dowództwem por. Teodora Mniewskiego nie powiódł się. Dopiero decydujący szturm kosynierów zakończył się pełnym sukcesem. W starciu zginęli prawie wszyscy Rosjanie. Kilku ocalałych, w tym von Grabbego, powstańcy wzięli do niewoli. Bitwa pod Sędziejowicami

przyczyniła się do koncentracji wojska, co w następstwie doprowadziło do klęski oddziałów gen. E. Taczanowskiego 29 sierpnia na polach wsi Kruszyna. Sieradzanie brali w tych walkach bezpośredni udział. Przykładem mogą być: poległy pod Rychłolicami August Otto – syn kominiarza sieradzkiego, poległy pod Szadkowicami Władysław Kolasiński – aplikant biura Naczelnika Powiatu z Sieradza, poległy pod Rudnikami stolarz z Sieradza Jelonkowski oraz Ludwik Kranas – syn burmistrza Sieradza. W okresie walk powstańczych opustoszały ławki Szkoły Powiatowej w Sieradzu, z najstarszych klas pozostał tylko jeden uczeń, inni znaleźli się w oddziałach powstańczych lub brali udział w innych formach wspierania powstania. Jeden z uczniów Franciszek Seniuta Mizigier zgłosił się do oddziału Oksińskiego i walczył w bitwach pod Widawą, Sędziejowicami i Kruszną, gdzie został ranny.<sup>4</sup> 4 marca 1864 r. został wydany ukaz carski o uwłaszczeniu chłopów, który całkowicie sparaliżował powstanie i odciągnął chłopów od walki. Ostatnia bitwa w powiecie sieradzkim została stoczona na przedpolach Sieradza 16 czerwca 1864 r., kiedy to niewielki oddział powstańczy został ścigany przez sotnię kozacką z Sieradza uległ rozsypance pod Biskupicami.

Narodowy zryw zakończył się jesienią 1864 roku i był najdłużej trwającym powstaniem. W Królestwie Polskim swój udział w powstaniu wiele tysięcy Polaków przypłaciło życiem. Na polach bitew poległo kilkanaście tysięcy powstańców. podczas walk, zostali straceni wyrokami władz carskich bądź zmarli w więzieniach. Rozstrzelano lub powieszono 700 osób. Kilkadziesiąt tysięcy powstańców zesłano na Syberię. Konfiskowano kilka tysięcy majątków szlacheckich, oddając je na licytację lub obdarowując nimi oficerów rosyjskich. W ramach represji wiele miast pozbawiono praw miejskich, nałożono kary pieniężne, przyczyniając się do ich upadku. Rozpoczęła się walka z kościołem m.in. poprzez likwidowanie klasztorów katolickich. Skasowano te klasztory, które angażowały się w ruch oporu. Na duchownych spadły liczne represje. W 1867 roku zniesiono autonomię Królestwa Polskiego, a w 1874 roku urząd namiestnika. Likwidacji uległy Szkoła Główna Warszawska i Bank Polski. Ziemie polskie poddane zostały intensywnej rusyfikacji. 5 sierpnia 1864 na stokach Cytadeli Warszawskiej powieszono członków Rządu Narodowego: Romualda Traugutta, Romana Żulińskiego, Józefa Toczyskiego, Rafała Krajewskiego i Jana Jeziorańskiego; a wcześniej 15 maja 1863 r. rozstrzelano w Płocku gen. Zygmunta Padlewskiego. W tym też roku rozstrzelano w kazamatach twierdzy kijowskiej jego ojca Władysława. Niewiele mogił pozostało po powstańcach styczniowych, Rosjanie usuwali ich ślady. W 1865 r. zabroniono

stawiać krzyży na mogiłach powstańczych, a istniejące usunięto. Na sieradzkim cmentarzu rzymsko – katolickim znajduje się zbiorowa mogiła dowódców powstańczych i członków Straży Narodowej z powstania 1863 – 1864 r. W mogile tej spoczywają:

- mjr Józef Androszek, powieszony 12 listopada 1863 r., dowódca żandarmerii (Straży Narodowej) w powiecie sieradzkim, później dowódca plutonu powstańczego, pojmany do niewoli 16 października 1863 r. pod Nową Wsią koło Złoczewa.
- Andrzej Kryszka, powieszony 12 listopada 1863 r., członek Straży Narodowej.
- Józef Kierski, powieszony 12 listopada 1863 r., powstaniec.
- Józef Kozłowski, powieszony 14 października 1864 r. w Szadku, dowódca oddziału wzięty do niewoli 16 stycznia 1864 r. pod Rożdżalami koło Rossoszycy.
- Antoni Sowiński, powieszony 12 listopada 1863 r., członek Straży Narodowej.

Na cmentarzu rzymskokatolickim w Jeziorsku gm. Warta znajduje się mogiła zbiorowa prawdopodobnie 7 nieznanych powstańców styczniowych z oddziału Wincentego Pągowskiego, którzy polegli w boju z rosyjską kolumną ppłk. Bołdyriewa w sierpniu 1863 r. na polach pomiędzy Goszczanowem a Jeziorskiem. W Sędziejowicach na cmentarzu rzymskokatolickim znajduje się mogiła zbiorowa 4 powstańców z oddziału gen. Edmunda Taczanowskiego poległych 26 lipca 1863 r. w Sędziejowicach. Również w Warcie na cmentarzu rzymskokatolickim znajduje się mogiła zbiorowa 11 powstańców poległych w potyczce z carskim wojskiem 17 marca, 15 kwietnia, 1 lipca 1863 r. pod Wartą i 23 sierpnia 1863 r. pod Poprężnikami. Zginęli wówczas m.in. straceni w Warcie Władysław Kononowicz (dowódca powstańczy na Mazowszu i w Sandomierskim) i Edmund Sadowski (dowódca powstańczy z Mazowsza). Na tym cmentarzu mieści się także grób weterana z 1848 r. i 1863r., Teodora Jackowskiego, zmarłego w 1871 r.

Pamięć o powstaniu styczniowym silnie odcisnęła się na narodowej kulturze i stała się ważnym elementem w budowaniu świadomości historycznej dla wielu pokoleń Polaków. Pochylamy głowy przed heroizmem powstańców styczniowych. Miejsca bitew i powstańcze mogiły stały się w narodowej świadomości miejscami uświęconymi, symbolami walki, patriotycznej ofiarności

i męczeństwa. Kolejne polskie pokolenia otaczały je i zawsze będą otaczać troskliwą opieką oraz pełną wdzięczności czcią. Pamięć historyczna powoduje, że tak ważne i tragiczne wydarzenia z przeszłości, jak powstanie styczniowe, są utrwalone w każdym pokoleniu.

Powstanie Styczniowe miało ogromny wpływ na kształtowanie się ducha patriotycznego, narodowego i wolnościowego polskiego narodu, Rzeczypospolitej, która w czasie powstania nie istniała, bo została rozdrapana przez zaborców. Rzeczypospolitej, która później odrodziła się w postaci Drugiej Rzeczypospolitej i naszej dzisiejszej Polski, w której my wszyscy żyjemy. Powstanie Styczniowe jest jednym z elementów naszej polskiej tożsamości narodowej. To wydarzenie, które na wieki wpłynęło na postawy patriotyczne Polaków. Dziś nie musimy już oddawać życia za Ojczyznę, żyjemy w wolnym kraju. Wolność wywalczyli nam nasi przodkowie, ludzie, którzy nie szczędzili zdrowia, wysiłku, a nawet życia dla swojego kraju. Naszym obowiązkiem jest pamiętać o lokalnych i krajowych bohaterach. Cześć walczącym o wolność i niepodległość Rzeczypospolitej! Chwała bohaterom Powstania Styczniowego!

### Samotny krzyż na cmentarzu

Młody chłopak szedł ulicą Piotrkowską i rozglądał się po ludziach. Mimo że był dzień, to ulica była opustoszała. Większość ludzi wolała siedzieć w domach, jeśli miała taką możliwość, w obawie przed tym, co może się wydarzyć. Wśród młodzieży, zwłaszcza studentów, mówiło się dużo nie tylko o powstaniu, do którego wielu chciało się przyłączyć, ale coraz częściej wspominano też o brance, która podobno miała się zacząć i była odpowiedzią Rosji na podejrzenie o formowaniu się spisku. Brunet wszedł do bramy jednej z kamienic, potem na klatkę schodową, po czym zaczął wchodzić po schodach na drugie piętro. Zapukał do drzwi jednego z mieszkań i już po chwili otworzyła mu dziewczyna nieco starsza od niego z krótkimi blond włosami i zielonymi oczami.

- Filip! Miło cię wiedzieć! – uśmiechnęła się i wpuściła go do środka.

- Jest Marysia? – zapytał i zaraz po wejściu rozejrzał się.

- Tak u siebie.

Chłopak skinął głową, zdjął buty i poszedł do pokoju dziewczyny. Kiedy drzwi się otworzyły Marysia od razu spojrzała w stronę wejścia i zerwała się z łóżka, porzucając to, co wcześniej robiła, aby objąć bruneta. Filip uśmiechnął się mocno, przytulając ją. - Cześć.

- Hej kochanie, jak było w pracy? – blondynka odsunęła się od niego i razem usiedli na jej łóżku.

- Całkiem dobrze, ale jestem śpiący. A ty co robiłaś dzisiaj?

- Rysowałam, a raczej kończyłam coś, co zaczęłam ostatnio. Zobacz. – Marysia podała mu szkicownik, w którym znajdował się szkic Piotrkowskiej.

- Piękne. – pocałował ją w policzek i oddał jej szkic. – Masz talent.

- Dziękuję. – blondyna zarumieniła się nieco.

Para rozmawiała między sobą swobodnie przez kilka kolejnych minut. Filip chciał bowiem jak najdłużej odwlec temat, z powodu którego odwiedził ukochaną tak wcześnie. - Musimy o czymś porozmawiać. – chłopak westchnął ciężko i spojrzał smutno na Marysię. - O co chodzi? – dziewczyna spoważniała i złapała bruneta za rękę.

- Szykuje się branka.

Marysia zbladła, kiedy usłyszała potwierdzenie tego, czego obawiała się od kilku dni. Filip od razu przytulił ją do siebie. Oboje wiedzieli co to oznacza dla ich związku oraz przyszłości. - Wycofasz się z tej akcji? – zapytała cicho z nadzieją w głosie.

Chłopak westchnął ciężko. Rozwagał to już kilkakrotnie od kiedy zaczął się spotkać z Marysią. Zdawał sobie sprawę z zagrożenia, jakie niesie ze sobą udział w powstaniu, ale czuł, że powinien to zrobić. Jego dziadek walczył w powstaniu listopadowym, a ojciec wpajał mu od dziecka, że ojczyzna jest najważniejsza i to za nią warto oddać nawet życie. Mimo to od jakiegoś czasu zaczął się wahać. Niedawno przecież zaręczył się z Marysią, a powstanie, mimo że nadal ważne, nie było już jedyną rzeczą o jakiej myślał. Nie chciał zostawiać ukochanej. - Nie. – odpowiedział, odsunął nieco do siebie blondynkę i spojrzał w jej brązowe oczy, które patrzyły na niego z obawą. – Muszę walczyć. I obiecuję, że zrobię wszystko, aby do ciebie wrócić. Marysia jedynie pokiwała głową. Chciała wierzyć zapewnieniom narzeczonego, ale wiedziała jak niebezpieczne jest to, co chce zrobić. Pomimo tego rozumiała jak ważne jest to dla niego – wiedziała jak wiele znaczy dla niego słowo ojczyzna i jak bardzo pragnął żyć z nią w wolnym kraju.

- Więc... jakie masz plany?

- Chciałbym przyspieszyć nasz ślub. Wiem, że to nagle, ale... chciałbym, abyśmy byli małżeństwem zanim to wszystko się zacznie.

Marysia skinęła głową i uśmiechnęła się, ale był to uśmiech przez łzy. Ślub planowali dopiero na połowę lutego, ale w głębi duszy czuła, że jeśli będą chcieli czekać, mogą nie mieć okazji się pobrać.

- Dobrze... Tylko musisz powiadomić brata, ja z siostrą i szwagrem zajmę się resztą. - Dziękuję. – Filip pocałował ją w czoło i uśmiechnął się. – To na pewno będzie najlepszy dzień w naszym życiu.

- Nie wątpię. – powiedziała cicho.

Niecałe dwa tygodnie później odbył się ślub Marii i Filipa. Przy skromnej ceremonii obecna była tylko siostra panny młodej z mężem oraz brat pana młodego, którego żona była w zaawansowanej ciąży i nie mogła przyjechać. Po ceremonii cała piątka ruszyła do mieszkania siostry Marii i jej męża, w którym dotychczas mieszkała panna młoda. Wszyscy dobrze się bawili i mieli okazję chociaż na jakiś czas zapomnieć o ponurej rzeczywistości, jaka ich otaczała.

Dzień po ślubie młodej pary brat Filipa – Antoni- wracał już do Konstantynowa. Mimo próśb Filipa, nie chciał on zostać w mieście dłużej, wolał uniknąć branki i być z dala od rówieśników młodszego brata, którzy wyczekiwali sygnału na rozpoczęcie powstania.

\*\*\*

Atmosfera w mieście była napięta – wszyscy to czuli i ci, którzy mogli planowali wyjazdy z miasta jak tylko zaczęłyby się zamieszki. Mimo ogólnego poparcia, jakie dostawała młodzież i osoby chętne przystąpić do powstania, niektórzy starsi mężczyźni nie byli skory do brania udziału w tym przedsięwzięciu. Większość z nich bowiem miała żony, dzieci, pracę, nie chcieli się z tym rozstawać. Wszyscy pamiętali, co wydarzyło się przeszło trzydzieści lat temu. - Mogę zostawić z wami moją żonę? – zapytał Filip, kiedy razem z Marią, jej siostrą Barbarą i mężem Stefanem siedział przy stole dwa dni przed wyznaczoną datą rozpoczęcia powstania w mieście.

- Oczywiście. – szwagier bruneta uśmiechnął się do niego wyrozumiale – Nie zostawię jej samej, kiedy ty pójdziesz walczyć. To w końcu moja szwagierka.

- Bardzo ci dziękuję, obiecuję, że jak wrócę to jakoś się odwdzięczę.

- Po prostu wróć. – powiedziała Barbara trzymając siostrę za rękę. – Będziesz tutaj potrzebny. 31 stycznia Filip musiał pożegnać się z ukochaną. Od ich ślubu minęły ledwie tygodnie i już musieli się rozstawać na nie wiadomo jak długo. Brunet długo przytulał swoją żonę i próbował w jakikolwiek sposób ją pocieszyć. Od południa bowiem dziewczyna nie mogła powstrzymać łez. Bała się o ukochanego i prosiła go kilkakrotnie, aby z nią został, niestety bezskutecznie. Ostatni pocałunek i Filip powoli wychodził z mieszkania, jeszcze wolniej schodził po schodach jakby chciał odwlec w czasie chwilę rozstania. Ruszył potem piechotą na Zachodnią, tam mieszkał jego przyjaciel – Gabriel, który był studentem i tak jak on planował udział w powstaniu. Filip zastał swojego towarzysza już w bramie, palił papierosa i wpatrywał się tępo w chodnik.

- Gabryś, cześć – cicho zabrzmiały słowa powitania Filipa.

- Cześć. – mruknął rudowłosy i zgasił niedopałek butem, po czym spojrzał na bruneta. – I jak poszło?

- Nie pytaj... - chłopak westchnął ciężko – Mocno płakała.

- A czego się spodziewałeś? Wiesz przecież jak może się to skończyć. – zauważył Gabriel.

- A jak u ciebie?
- Też źle... Matka jest zrozpaczona, a ojciec wściekły.
- Chciał, abyś był prawnikiem, a ty idziesz do powstania.
- Tak... spora zmiana w karierze. -uśmiechnął się z przekąsem.
- Są już inni?
- Jeszcze nie, przyszedłeś pierwszy.

Filip skinął głową i razem z Gabrielem poszedł do jego mieszkania. Nie planowali iść sami na spotkanie z innymi powstańcami, do mieszkania rudowłosego miało przyjść jeszcze dwóch chłopaków – znajomych Filipa, którzy zdecydowali się na dołączenie do zrywu.

- Napisałeś list do matki? – zapytał brunet, kiedy razem z przyjacielem siedzieli w jego salonie.

- Tak, przekazałem go siostrze. A ty swój komu dałeś?

- Bratu. – przyznała Filip. – On nie planował się przyłączyć, więc uznałem, że jest najlepszą osobą, aby to przechować.

Gabriel skinął głową i wpatrzył się w okno. To był ostatni normalny wieczór przed rozpoczęciem powstania. Obaj napisali listy do najbliższych. Jakże były one bolesne, ale wyrażały to, co chcieli przekazać, a czego nie potrafili w momencie rozstania. List Gabriela do rodziców był krótki – chłopak nie wiedział o czym pisać, więc po prostu umieścił w nim przeprosiny oraz słowa otuchy dla matki, która straciła ojca w powstaniu listopadowym i była zdruzgotana, że tak samo może stracić syna. List Filipa za to był bardzo długi, brunet pisał go kilka dni i każdą część skierował do kogoś innego. Najdłuższy jednak fragment był dla jego ukochanej żony, której zostawienie bolało go najbardziej.

\*\*\*

Na wieści o tym jak dramatyczne w skutkach było powstanie styczniowe nie trzeba było długo czekać. We wrześniu 1863 wprowadzono zakaz noszenia żałoby po zmarłych, co dla Marysi było bolesne. Nie chciała narażać siostry i jej męża na płacenie za nią kary, a własnych pieniędzy miała mało – sprzedawała, żeby zarobić swoje rysunki. W domu jednak ubierała się na czarno. Nie miała wiadomości od męża od samego początku powstania, więc zaczynała obawiać się najgorszego. Barbara, mimo wszelkich starań, nie potrafiła pocieszyć siostry, którą przed załamaniem psychicznym uratowała ciąża. Niedługo po rozpoczęciu

powstania wyszło na jaw bowiem, że spodziewa się dziecka. Marysia postanowiła nazwać synka Zygmunt – było to drugie imię jej męża. Kilka tygodni po porodzie do młodej matki dotarła wiadomość, że przyjaciel jej męża – Gabriel wrócił do miasta i leżał w szpitalu. Rozbudziło to nadzieję kobiety, że niedługo być może ponownie spotka się z ukochanym lub przynajmniej dowie się, że żyje. Gabriel po wyjściu ze szpitala został zaproszony do siostry Marii i jej męża. Chłopak przyjął zaproszenie i podczas swojej wizyty nie mówił za dużo. Kiedy jednak został sam na sam z żoną przyjaciela, rozplakał się, po czym zwierzył się Marii z faktu, że uciekł z pola walki. Gabriel nie wytrzymał bowiem presji – nie był w stanie zabić człowieka, nawet jeśli ten był wrogiem, zaczął bać się śmierci, kiedy widział jak szybko i łatwo jego koledzy giną od odniesionych obrażeń i nie mógł znieść myśli, że jego list do matki był tak krótki. Dlatego kiedy miał okazję uciekł i wrócił do miasta. Gabriel miał o tyle szczęścia, że jego ojciec był dość wpływowy i zapewnił synowi cichy powrót do miasta, tak aby będący w mieście żołnierze nie chcieli go aresztować. - Przepraszam Marysiu, ale nie wiem co z Filipem. Kiedy uciekałem nasz oddział już się wycofywał i... Nie wiem co z nim, nie widziałem ciała. Nie był ranny! Tego jestem pewien albo może był? Wszędzie było pełno krwi, ale on wydawał się cały. Dowodził wycofaniem się naszego oddziału...

Miesiąc później do Marysi przyjechał Antoni. Blondynka założyła, że szwagier przyjechał zobaczyć jej synka, ale to nie był jedyny powód jego wizyty w mieście.

- Mam coś dla ciebie. – mężczyzna podał nowej matce kopertę z listem.

- Od... kogo? – zapytała słabo Maria, obracając kopertę w dłoni.

- Jest od Filipa. Zostawił go u mnie, gdyby no... nie wrócił. Jest do ciebie i do mnie, ja już go czytałem, więc teraz twoja kolej.

Barbara spojrzała zaniepokojona na siostrę, w której oczach ponownie pojawiły się łzy. Kobieta wzięła swojego siostrzeńca i wyszła z pokoju siostry, to samo zrobił Antoni, aby dać wdowie przestrzeń. Marysia usiadła na łóżku i drżącą dłonią wzięła list od męża. Już patrząc na pierwszą stronę wiedziała, że list był pisany z wyprzedzeniem – pismo było bardzo staranne, takie, jakim Filip pisywał do niej listy miłosne zanim się zaręczyli. Pierwsza strona skierowana była ogólnie do jego bliskich – prosił w niej, aby nie płakali po nim za bardzo i spróbowali żyć dalej, tak szczęśliwie jak tylko będą w stanie. Druga strona zaadresowana była do brata Filipa. Marysia jedynie przebiegła po niej wzrokiem. Jej mąż prosił go o wybaczenie i wyznał, że zaczął rozumieć, dlaczego ten nie chciał walczyć

razem z nim w powstaniu. Kolejne półtorej strony było skierowane do Marysi. Był to fragment pełen czułych słów i prób pocieszenia jej po stracie ukochanego. Filip wyjaśnił tam, dlaczego list powierzył bratu – ufał, że będzie on wiedział po jakim czasie nie będzie już szans, że wróci do bliskich. Kiedy Maria skończyła czytać, mocno się rozplakała. Łzy leciały jej już, kiedy czytała list, ale po skończeniu straciła całkowicie nad sobą kontrolę. Jej siostra weszła cicho do pokoju i nie czytając listu mocno przytuliła siostrę, która zaczęła szlochać w jej ramię zdruzgotana po śmierci męża. Kiedy Maria trochę się uspokoiła do pomieszczenia wszedł Antoni i chwilę porozmawiał ze szwagierką. Zaprosił on ją do siebie na wiosnę, bo chciał jej coś pokazać. Maria zatrzymała list i wiosną przyjechała do brata zmarłego męża. W jego domu przywitała ją szwagierka, której nie miała okazji poznać wcześniej oraz dwuletni już chłopiec o imieniu Adam. Dwa dni po przyjeździe Antoni zabrał szwagierkę na spacer, a jego żona została w domu z dwójką chłopców.

- Dokąd idziemy? – zapytała Maria rozglądając się po okolicy. Szli wzdłuż ulicy, po jednej ze stron co jakiś czas widać było chaty, a po drugiej rósł las.

- Na cmentarz.

Blondynka zamrugła zaskoczona, ale dalej szła za Antonim. Po przejściu przez małą rzekę po kładce Maria zobaczyła mur otaczający cmentarz. Razem ze szwagrem weszła na jego teren i rozglądała się po nagrobkach szukając nazwiska męża. Kobieta próbowała rozszyfrować, dlaczego jej szwagier ją tam zabrał. Nikt z jej rodziny nie mieszkał w Konstantynowie oraz z tego, co wiedziała również nikt z rodziny Filipa tam nie mieszkał poza Antonim, który przeprowadził się tam, kiedy otwierał swój własny sklep.

- Po co tu jesteśmy?

- Zaraz się przekonasz.

Antonii zatrzymał się przy obrzeżu cmentarza – krańcu, który nie był odgradzony płotem od lasu. Kawalek przed nimi stały wbite w ziemię dwa krzyże.

- Kto tu leży? – zapytała nieśmiało Maria po cichej modlitwie, którą zmówiła.

- Ten – Antonii wskazał na starszy z krzyży – jest mojego dziadka. Zginął w powstaniu listopadowym. Ojciec zrobił wszystko, by pochowano go tutaj.

- A... ten drugi? – blondynka poczuła ciężar na sercu. Jej umysł podpowiadał jej czyj może być drugi – wyraźniej świeży – krzyż, ale bała się powiedzieć tego na głos.

- Twój mąż, a mój brat. Ten jego znajomy, Gabriel, przyszedł do mnie zanim wrócił do miasta i powiedział, gdzie powstańcy mieli swój obóz. Poszedłem tam i zastałem pobojuwisko. Na środku leżały bezładnie porozrzucane ciała, stosy trupów. Patrzyłem na ich młode twarze, mieli życie, przyszłość przed sobą. Patrząc na ten przerażający widok, uświadomiłem sobie jak okrutna jest historia i niesprawiedliwe wyroki losu... Zabrałem stamtąd brata i pochowałem go tutaj, tydzień przed tym jak dostałaś list.

Maria patrzyła w krzyż. Po jej policzkach wolno spływały łzy. Mimo wszystko ona w odróżnieniu od wielu innych żon czy matek miała mogiłę, do której mogła przychodzić i opłakiwać męża. Kiedy syn dorośnie, opowie mu o ojcu i będą przychodzić tu razem. - Dostaną lepsze nagrobki? – zapytała Maria, kiedy wracała z Antonim do jego domu.

- Jeśli sytuacja na to pozwoli. – odpowiedział mężczyzna i spojrzał na nią ze współczuciem i bólem, który próbował ukryć -Tacy jak oni zasługują nie tylko na krzyż na mogile.

### Bitwa pod Dobrą - bohaterowie znani, zapomniani, niesławni

S tary zegar żegnał odchodzący rok 1862. Pogoda na dworze nie przypominała trzaskającej mrozem śnieżnej królowej, lecz wilgotną, pełną deszczu i błota wiedźmę. W swoim mieszkaniu Józef Dworzaczek, trzydziestoparoletni lekarz i jednocześnie ordynator szpitala Świętego Mikołaja w Łęczycy, rozmyślał nad rozwojem sytuacji politycznej pod zaborem rosyjskim. Mimo młodego wieku, doktor zaskarbił sobie swoją pracą szacunek wśród okolicznych ziemian i ludności miejskiej. Nie był on typem egoisty, pochodził z Wielkopolski, a młodzieńcze powstańcze porywy w Wielkim Księstwie Poznańskim podczas Wiosny Ludów i ratowanie życia powstańców w 1848 r. zmusiły go do opuszczenia stron rodzinnych. Osiadł w Łęczycy. Nadal robił to, co umiał najlepiej – leczył ludzi. Nie stronił od działalności patriotycznej, mimo surowej nauki jaką odebrał w przeszłości. Przywódcy organizacji konspiracyjnej w Warszawie powierzyli szanowanemu doktorowi obowiązki naczelnika cywilnego w powiecie łęczyckim. Niepokoiły go coraz częstsze wizyty emisariuszy Komitetu Centralnego Narodowego. Był w stałym kontakcie z Zygmuntem Padlewskim i Józefem Janowskim z KCN w Warszawie. Przeczynał rychły wybuch powstania. Na jego głowie znalazło się pobieranie od ziemian podatku narodowego na organizację zbrojnych oddziałów, które miały zostać utworzone po ogłoszeniu insurekcji. Był dobrym organizatorem, brakowało mu jednak wiedzy i doświadczenia w wojennym rzemiośle. Prowadził liczne rozmowy z ziemianami, znającymi militarny kunszt, ale żaden nie chciał wziąć udziału w niepewnej eskapadzie ludzi, którzy głosili poglądy o uwłaszczeniu chłopów. Wśród osiadłej szlachty nieufność wzbudzały rewolucyjne poglądy „Czerwonych”.

Lekarz rozmyślał nad położeniem rodaków. Polacy pod butem moskiewskiego cara coraz śmielej marzyli o jakieś namiastce swobody. Minęło już ponad 30 lat od czasu, gdy polscy powstańcy nieszczęśnie próbowali się wyrwać z rosyjskich pęt, popadając w sroższą jeszcze niewolę. Okupanci spod czarnego dwugłowego orła nie zostawili ludziom znad Wisły, Bzury i Neru cienia nadziei na wolne i samodzielne rządy. Wszystkie ważniejsze urzędy i stanowiska pod rosyjskim zaborem zajmowali Moskale. Dawna gospodarka z handlem płodami rolnymi prowadzona przez osiadłą szlachtę, władającą folwarkami odchodziła w niepamięć, ustępując szybko postępującemu rozwojowi fabryk i powstawaniu nowych miast. Takich błyskawicznych przemian nie spodziewali się polscy ziemianie. Nie mogli uwierzyć, że nie ziemia, a kapitał i wiedza zaczęły odgrywać największą rolę. Rosło znaczenie miast, młodzi ludzie uciekali ze wsi, upatrując poprawy swojego losu w pracy w fabrykanckich manufakturach. Ziemianie pamiętający powstanie listopadowe, nauczeni pokory rosyjskim batem,

próbowali drogą ustępstw i negocjacji poprawić los polskich rodzin. Niełatwe to było zadanie, ale sytuacja na świecie, a zwłaszcza przegrana cara w wojnie krymskiej, otwierała pola do zwiększenia polskiej samodzielności pod rosyjskim panowaniem, choć car bawiąc w 1856 r. w Warszawie studiował nastroje: „Żadnych marzeń panowie, żadnych marzeń”. To narodowe ożywienie umacniało świętowanie licznych patriotycznych rocznic. Niestety wkrótce okres nadziei zastąpił okres żałoby. Po krwawym rozprawieniu się z demonstracją patriotyczną w Warszawie przez carskie wojsko, na znak protestu ludzie przywdziali żałobne ubrania. Niezgoda na okrucieństwo rosyjskich okupantów objawiła się na ulicach polskich miast i ziemiańskich pieleszy wszechobecną czernią. Nikt nie śmiał włożyć kolorowych ubrań, gdy Moskałe deptali pamięć polskich bohaterów. Wśród młodych ludzi krążyły idee zapoczątkowane Wiosną Ludów. Niepomni klęski powstania listopadowego, z uwagi na swój wiek, skłonni byli wywalczyć wolność orężem a nie pokojowymi rozmowami i dyplomacją. Rozmyślania lekarza trwałyby dłużej, lecz dźwięk porannych dzwonów kościoła sprawił, że umysł doktora wrócił do spraw codziennych.

Minęły dwa tygodnie stycznia roku 1863r, gdy ziemie polskie pod moskiewskim zaborem wstrząsnęła wieść o brance – przymusowym poborze do wojska. Była ona o tyle dziwna i nadzwyczajna, że normalnie odbywała się ona wiosną. Car wyczuwał nastroje Polaków, dzięki działaniu tajnej policji. Znając nazwiska najaktywniejszych, postanowił wcielić ich do długoletniej służby wojskowej. Car Aleksander II wiedział, że ten buntowniczy polski pierwiastek roztopi się w morzu innych nacji, tworzących imperialne wojsko. Służba u cara skazywała bowiem poborowych na dwie beznadziejne alternatywy. Po pierwsze chwalebną śmierć dla umocnienia władzy Kremla albo długoletnią służbę, naznaczoną razami bata i uderzeń oficerskiego buta, od których wszelkie patriotyczne młodzieńcze porywy uległyby zwietrzeniu.

Ukaz carski o brance był niczym iskra, która rozpala lont. Młodzież, którą Rosja chciała wcielić do wojska, uszła do lasów. Władze Komitetu Centralnego Narodowego podjęły decyzję o wybuchu powstania i uwłaszczeniu chłopów. Informacja o wybuchu insurekcji szybko dotarła do Józefa Dworzaczka. Młodzi chcieli walczyć z Moskalami, ale nie mieli broni. Jako naczelnik cywilny musiał naprędce organizować oręż i wyżywienie. Niestety uzbrojenie powstańcy musieli organizować na Zachodzie.

Największa grupa powstańców w Łęczyckiem zebrała się w łagiewnickich lasach. W niedługim czasie zgromadziło się tam kilkaset ludzi. Większość z nich stanowili robotnicy z pobliskiej Łodzi, robotnicy rolni, niespokojne duchy, których car zamierzał wysłać jako mięso armatnie dla utrzymania potęgi imperium rosyjskiego. Część z nich była uzbrojona w broń myśliwską, część w kosy postawione na sztorc. Tę barwną, ale niezdyscyplinowaną kompanię, która w większości nie zaznała bitewnego kurzu, próbował ogarnąć Józef Sawicki, blisko czterdziestoletni dzierżawca folwarku Dąbrówka koło Zgierza.

Pochodził z Wielkopolski. Po służbie w pruskim wojsku znalazł się niedaleko klasztoru franciszkanów w Łagiewnikach. Niektórzy myśleli, że stał się zakonnikiem, bo kwestował na utrzymanie zakonu. Miał fantazję, lubił rozgłos, ale pieniądze nie trzymały się przy nim długo. Za chodzenie w zabronionym narodowym stroju odsiedział trzy dni aresztu w 1862 roku, czym imponował młodym powstańcom. Nie mając wyboru, Józef Dworzaczek powierzył wojskowe dowództwo nad zbrojną partią Sawickiemu. Z entuzjazmem tę wiadomość przyjęli zgromadzeni w łagiewnickich lasach powstańcy. Założyli obóz pod Dobrą, gdzie nieatakowani przez Rosjan przebywali przez dwa tygodnie. Czekali na emisariuszy, którzy mieli przywieźć z Zachodu broń konieczną do walki. Utrzymanie tylu ludzi zimą w jednym miejscu, w obawie przed carskim wojskiem, było nie lada wyzwaniem. Bezczyność i kłopoty z aprowizacją dla powstańców skłoniły Sawickiego do przeprowadzenia zbrojnego wypadu. Istniało zagrożenie spotkania Moskali, gdyż kilka dni wcześniej kilku ludzi Sawickiego omal nie wpadło w ręce Rosjan w Zgierzu przy odbiorze broni. Kilkusetosobowy oddział przybył przez Brzeziny, Stryków, Zgierz do Łodzi. Tu na łódzkim Rynku proboszcz parafii Wniebowzięcia Marii Panny ksiądz Wojciech Jakubowicz poświęcił i wręczył powstańcom sztandar wykonany przez łodzianki. Ku zdziwieniu powstańców w trakcie postoju w Zgierzu przybyły naczelnik cywilny Józef Dworzaczek odczytał rozkaz przywódców powstania, informujący, iż w dniu 22 lutego 1863 roku stracił dowództwo wojskowe Józef Sawicki. Został on zdegradowany do roli naczelnika kawalerii. Obowiązki naczelnika wojskowego przejął wygłaszający rozkaz Józef Dworzaczek, który mimo wrodzonych talentów organizatorskich nie miał ani zdolności dowódczych, ani wojskowego doświadczenia. Z powstańczym oddziałem liczącym blisko trzysta osób powrócił on na miejsce dawnego obozu pod Dobrą. Tymczasem zdegradowany Józef Sawicki wyruszył z kilkoma osobami po prowiant. Siły oddziału powstańczego stanowiło kilkudziesięciu ludzi uzbrojonych w broń palną, niewielki oddział kawalerii, oddział chłopów kosynierów, wyposażonych w kosy na modłę Bartosza Głowackiego, służby aprowizacyjne --i kilka kobiet, których głównym staraniem było gotowanie strawy i pomoc medyczna. Wśród powstańców wyróżniała się ubrana w narodowy strój młoda ziemianka: mężatka Maria Piotrowiczowa z Rogolińskich. Była dziedziczką rozległych dóbr w Radogoszczu, która zakochała się biednym nauczycielu szkoły elementarnej w Chocianowicach Konstantym Piotrowiczu, a w wieku 17 lat popełniła megalomanię, wychodząc za niego za mąż. Mimo różnicy statusu społecznego było to bardzo zgodne małżeństwo. Doczekali się wkrótce córeczki Stefci. Maria i Konstanty, widząc niedostatki w edukacji robotniczych dzieci, nauczali je w szkole elementarnej. Młodzi pełni zapału małżonkowie w trakcie nauki przekazywali nie tylko wiedzę, ale również krzewili patriotyzm wśród rodzin robotniczych. Działali w łódzkiej konspiracyjnej organizacji narodowej. Na wieść o wybuchu powstania dali przykład niezwyklej odwagi, przyłączając się do pobliskiego oddziału Józefa

Sawickiego, swoją córkę zostawiając pod opieką rodziny. Brzemienna Piotrowiczowa obciąła włosy, założyła powstańczą czamarkę. Wzięła konia i broń palną. Konstanty trafił do oddziału strzelców, a Maria zajęła się gotowaniem dla powstańców i opatrywaniem rannych.

Tymczasem wieści o oddziale powstańczym z łagiewnickiego lasu dotarły również do Rosjan, którzy pod wodzą sztabkapitana Opoczńskiego, ruszyli na Polaków oddziałem liczącym dwie rotę piechoty i sotnię kozaków. Nietrudno było znaleźć ślady pochodu powstańców dla wytrawnego rosyjskiego wojaka, gdyż koloniści niemieccy regularnie przekazywali informację o działaniach polskich patriotów. W dniu 24 lutego 1863r. oddział rosyjski znalazł się w bezpośredniej bliskości oddziału Dworzaczka. Jednak kawaleria kozacka nie kwapiła się do rozprawienia się z Polakami. By dodać werwy i animuszu kozackim kawalerzystom, kapitan Opoczinski wydał rozkaz o krótkim popasie dla rozdysponowania wśród nich gorzałki. Alkohol przekonał niechętnych jeźdźców do wydania bitwy powstańcom. Krótco po południu, w lesie pod Dobrą Moskalę zaatakowali niczego niespodziewających się powstańców. Niestety brak podstawowej wiedzy w szeregach powstańczych z zakresu sztuki wojennej dał o sobie znać już na początku bitwy. Józef Dworzaczek nie wystawił żadnych wart, które mogłyby ostrzec o zbliżaniu się przeciwnika. Salwy rosyjskiej piechoty przetrzebiły polski oddział. Kosynierzy trzykrotnie przeprowadzali bezskutecznie kontratak na pozycje Rosjan. W czasie pierwszego szturmu na placu boju nie było ani naczelnika Dworzaczka, ani naczelnika kawalerii Sawickiego. Pole walki usiane było wieloma ciałami powstańców. Widząc brak szans na wygraną z regularnym wojskiem Dworzaczek zarządził odwrót. Jednak brak wyszkolenia oddziału spowodował, że zamiast odwrotu nastąpiła bezładna paniczna ucieczka. W trakcie walk padł ciężko ranny od kuli Konstanty Piotrowicz. Jego małżonka, widząc ucieczkę oddziału, postanowiła bronić jego honoru i sztandaru z bronią palną w ręku. Jej bohaterstwo było najwyższej próby. Gdy zaczęła się prawdziwa rzeź dokonywana przez pijanych kozackich jeźdźców nad ogarniętymi paniką powstańców, Maria Piotrowiczowa w obronie sztandaru zabiła jednego Rosjanina, raniła drugiego. Mimo braku kul broniła się kosą powstańczą przed naporem pijanych rosyjskich żołdaków. Ugodzona kulą przez moskiewskich siepaczy, kluta i siekana kozackimi szablami sztandaru powstańczego z ręki nie wypuściła - oddała ducha za Boga, honor i Ojczyznę. W pijackiej wściekłości kozacy nieludzko obeszli się z ciałem Marii Piotrowiczowej, z dwójgiem nienarodzonych bliźniąt w łonie, kłując je i tnąc ponad sto razy. W bitwie, która zakończyła się totalną klęską, zginęło 63 powstańców, rannych zostało kilkudziesięciu, wielu trafiło do niewoli.

Józef Dworzaczek, uciekając z pola walki, został zatrzymany przez niemieckich kolonistów pod Nowosolną i wydany w Łodzi Rosjanom. Józef Sawicki zdołał uciec pogoni. Umęczone ciało Marii Piotrowicz, po wykupieniu przez rodzinę, trafiło do rodzinnego dworu na Radogoszczu. Kapitan Opoczinski

nawiedził ciało bohaterki spoczywające na katafalku, oddając hołd mężnej Polce. Ranny Konstanty leżał w miejskim szpitalu, nie wiedząc, że małżonka zginęła. Myślał, że żona trafiła do niewoli. Nikt nie poinformował go o stracie ukochanej w trosce o jego życie. W dniu 28 lutego 1863r. przebudziły Konstantego dzwony pobliskiego kościoła. Przejęty zapytał pielęgniarkę:

- Z jakiej okazji biją te dzwony?

Pielęgniarka nieopatrznie rzekła:

- Dziś chowają ciała zabitych pod Dobrą powstańców. Chyba Marii Piotrowiczowej?

Słyszając ostatnie słowa, padł Konstanty jak rażony gromem na łóżko i wyzionął ducha. Dołączył do swojej zmarłej małżonki, gdyż serce mu pękło z ogromnej żałości po śmierci najdroższej. I tak chwalebnie i bohatersko odeszli do Ojca Niebieskiego Maria i Konstanty małżonkowie Piotrowicz, a doczesne ich szczątki spoczęły w jednym grobie na Starym Cmentarzu przy ulicy Ogrodowej.

Po klęsce pod Dobrą Józef Sawicki próbował odtworzyć oddział, jednak ziemianie nie kwapili się z pomocą dla czerwieńca, który nie słuchał rozkazów dowództwa, a nawet przepuszczał otrzymane środki na organizację oddziału dla swoich korzyści. W krótkim czasie przywódcy powstania wydali rozkaz zatrzymania i wykonania orzeczonego wyroku tj. kary śmierci na Józefie Sawickim, lecz zgromadzeni powstańcy uniemożliwili jego zatrzymanie. W obawie przed utratą życia na kilka miesięcy były zarządca folwarku udał się na Kujawy, lecz w listopadzie 1863 r. wrócił w okolice Strykowa. Tam drugi raz został ujęty i osądzony. W imieniu władz powstania Józef Sawicki wyrokiem sądu za sprzeniewierzenie funduszy powstańczych i złamanie rozkazów skazany został na śmierć przez powieszenie. Wyrok wykonali żandarmi narodowi w lesie pod Strykowem. Po egzekucji ciało zostało pod osłoną nocy przewiezione na cmentarz w Strykowie, gdzie za wiedzą proboszcza zostało pochowane w bezimiennym grobie.

Pojmany Józef Dworzaczek został w Łodzi skazany na karę śmierci i przetransportowany do więzienia w Łęczycy. Tam przebywał w celi przez osiem miesięcy. Wyroku na nim jednak nie wykonano, gdyż zasługi w leczeniu rannych żołnierzy rosyjskich spowodowały, iż wyrok ten zamieniono na długoletnią zsyłkę na Syberię. Jednak nieokiełznana dusza lekarza nadal ciągnęła go do prowadzenia działań konspiracyjnych, tym razem na terenie Rosji. Aktywność Dworzaczka została rychło udaremniona a dwa lata po upadku powstania doktor zmarł na obcej ziemi. Miejsca jego pochowku nie odnaleziono.

Minęło 160 lat od wybuchu powstania. Konstanty i Maria Piotrowiczowie to znane postaci tragicznej bitwy pod Dobrą. Zginęli śmiercią bohaterów. Józef Sawicki skończył w niesławie w bezimiennym grobie. A co pozostało po

łęczyckim lekarzu Józefie Dworaczku? Pamięć o dobrym lekarzu i beznadziejnym dowódcy, którego prochy leżą w bezdusznej rosyjskiej ziemi.

Co nam współczesnym pozostało po bitwie pod Dobrą? Czy tylko krzyż żelazny, a może kamień z napisem „Gloria victis” ...

## Bóg, Honor, Ojczyzna

**S**tanęłam w dębowych drzwiach skromnie urządzonego pokoiku. Spojrzałam na smagane promieniami zachodzącego słońca, twarze Anteczka i Marysieńki. On tak bardzo był podobny do Jana. Wiecznie uśmiechnięty, pomimo tego, że było mu bardzo ciężko, nadal był wrażliwy na ludzką krzywdę. Nie mogłam od nich oderwać oczu. Moje śliczne, niewinne pisklaczki. Nie to co Zośka. Wiecznie chodziła do zakładu szewskiego Jakuba Ossera, w którym pracował Staszek. Nie wiem co ona w nim widziała. Chłopaczyna o pociągłej twarzy, krzywym nosie przyprószonym piegami i odstającymi uszami – to nie jest ktoś dla mojej córki. Stanisław nawet nie miałby, jak utrzymać przyszłej rodziny i nie potrafiłby zapewnić im życia w dogodnych warunkach. Mówiłam Zosieńce, aby nie zadawała się z tym biedakiem, lecz ona uparcie powtarzała mi to, jak bardzo go kocha. A ja po prostu chciałam dla niej lepszego życia, a nie takiego jak ja z Janem. Cały czas w biedzie... choć przynajmniej mamy siebie. Westchnęłam, odwróciłam się i weszłam do opustoszonego salonu. Usiadłam na jedynym fotelu, który się w nim znajdował i przymknęłam oczy...

- Co robisz? Co robisz? – dopytywała się jasnooka dziewczynka, a wtem on przerwał: - Formuje wojska, zaraz stoczy się wieceelka bitwa!

- A czy Teoś będzie też walczył??? Zobacz nawet ma mundurek, on bardzo chce walczyć, pozwolisz mu Dowódco? – zapytała Marysia zapinając brązowemu misiowi guziki w szarej kamizelce, przyglądając się cynowym żołnierzkom

- Oj ty mały Głuptasku, przecież Teoś jest królem a ty jesteś Królową. Szybko patrz, moja Pani. Wrogie wojska się zbliżają!!! Trzy, dwa, jeden! Do ataku! – chłopiec powoli przesunął figury po drewnianej posadzce.

Przewracał je na plecy – te prymitywne zabawki były jak ci, którzy polegli w walce... i którzy już nigdy nie powrócą do kochającej żony i gromadki dzieci. Zostało już tylko kilku żołnierzy dobrej armii... Umęczonych, poranionych..., ale wciąż mających nadzieję na zwycięstwo. Poświęcających się dla Ukochanej Ojczyzny... Teraz chłopiec przesunął żołnierzy wrogiej armii, których było więcej. Czy tych kilku bohaterów mogło wygrać bój z liczniejszym wojskiem? Zapewne nie mieliby szans, ale zaraz nagle pojawiła się figurka orła

z rozpostartymi skrzydłami! Antoni, tym majestatycznym ptakiem oddzielił zwaśnione strony. Żli wojacy podają na „ziemię”. Orzeł odlatuje, pozostawiając triumfujących weteranów, Królestwa Królowej Marii. Nie zwracają oni uwagi na powalonych przeciwników radując się rychłym zwycięstwem, do czasu aż... Kilku wrogów powstaje i po chwili powalają świętujących.

- Dlaczego! Dlaczego przegraliśmy! To niesprawiedliwe! – tupą nogami w złości

- Nie dało się nic zrobić, Królowo. Pozwól, że uklękę przed Twym obliczem. – Antek wstał z podłogi i uklęknął przed siostrą pochylając głowę.

- Pomożesz mi teraz posprzątać co? – podniósł głowę i uśmiechnął się szeroko.

Po chwili po zaciętej bitwie nic nie zostało. Blondynek o delikatnej urodzie wyciągnął z szafki cienką książkę i zaczął ją czytać. Młodsza siostra z ciekawością przyglądała się kolorowym ilustracjom przedstawiającym zwierzęta. Była taka ciekawa świata. Jednocześnie była biednym nieświadomym dzieckiem, które nie wiedziało co dzieje się wokół niego...

- Antosiu? Ty naprawdę chcesz zostać żołnierzem w przyszłości? – spojrzała na niego.

- Tak, a co w tym złego? Chce być przecież taki jak tata. – odpowiedział, a ona zapytała go: - Ale ja będę za tobą i tatusiem bardzo tęsknić...

Po bladej twarzyczce dziewczynki potoczyły się dwie, krystaliczne łzy. Chłopiec bez wahania objął młodszą siostrę i przytulił się do niej. Sam nie wierzył w to, że jego ojciec wstąpił do partyzantki. Wiedział, że mama bardzo źle to przyjęła. Słyszał nawet jak modliła się, aby Bóg go oszczędził, kiedy on szedł w nocy do lasów rososzyckich, by tam razem z innymi partyzantami i powstańcami ks. Czajkowskiego omówić plan walki.

- Nie martw się, maleńka. Wszystko będzie dobrze. – wypowiedział to, aby pocieszyć Marię, ale nie wierzył, że to wszystko dobrze się skończy. Czuł straszny niepokój...

Ktoś trzasnął drzwiami. Do salonu wbiegła zapłakana Zosia. Usiadła na drewnianym taborecie i zakryła twarz dłońmi. Tonęła w morzu łez. Nie potrafiła się uspokoić. Szlochała i próbowała złapać oddech.

- Dziecko co się stało...? – zapytała zmartwiona, otwierając szeroko oczy.

- On... poszedł tam, gdzie ojciec... Chce walczyć. – wycierała twarz wierzchem dłoni

- Wiedziałam, że to nie chłopak dla ciebie. A wiesz, że kiedyś nawet udało mi się usłyszeć, że jego rodzice zebrali na obrzeżach naszego pięknego miasta. Podobno wyjechali z Moskwy, zadłużyli się, zbankrutowali i wylądowali na bruku z malutkim dzieckiem... - przerwałam spoglądając w ciemne oczy Zofii, a po chwili dokończyłam: - Stara Kowalska mówiła też o tym, że kiedyś nazywał się Siergiej, a nie Stanisław i że zakonnice z pobliskiego klasztoru zaopiekowały się nim i zmieniły całą jego tożsamość. –

- Nie obchodzi mnie to! Ja go kocham! Musisz to wreszcie zrozumieć! – wrzasnęła i po chwili wybiegła z pomieszczenia.

Mogłam ugryźć się w język. Muszę się z tym w końcu pogodzić... rozłąka dwojga zakochanych to największe zło. Tylko przysparzam jej więcej bólu. Powinnam ją wesprzeć, kiedy ja sama czuję się rozbita. Tak bardzo się boję tego co będzie dalej! Co, jeśli Janek um... Nie mogę tak myśleć! Jak mam rozmawiać z dziećmi...? Powiedzenie im, że ich tatuś może już nigdy nie wrócić nie przejdzie mi przez usta. Jeszcze, gdyby nie daj boże coś się stało Staszкови... Zosieńka nie dałaby sobie rady...

Jutro mamy się pożegnać. Nie mogę sobie tego poukładać w głowie. Czuję, że kiedy spojrzę na niego ostatni raz i wtulę się w jego ramiona, zaleję się łzami. A on przecież by tego bardzo nie chciał... Ja tak strasznie nie chcę, żeby odszedł... Mój bohater...

- Jeszcze Polska nie zginęła, Kiedy my żyjemy. Co nam obca przemoc wzięła, Szablą odbierzemy. Marsz, marsz, Dąbrowski, Z ziemi włoskiej do Polski. Za twoim przewodem złączym się z narodem. – latarnie oświeślały twarze, dumnych i donośnie śpiewających powstańców. Szli obok siebie. Staszek i Jan. Jak syn i ojciec. Patrzyli wprost, lecz ich wzrok był, jak gdyby nie obecny. Mieli zaciśnięte w skupieniu usta, a na ich czołach pojawiły się krople potu. Nie zatrzymywali się...

- Jesteś dobrym chłopakiem, Staszku. – spojrzał na twarz młodzieńca

- Jeśli coś by mi się stało, wiedz, że masz moje błogosławieństwo. – Jan wyciągnął drżącą dłoń w kierunku ukochanego Zosi.

- Dziękuję, nie wiesz nawet jak wiele to dla mnie znaczy. Wyjdziemy z tego wszystkiego razem... - ucisnął dłoń Jana i opuścił głowę.

- Jak już wszystko się ułoży razem z Marylką wyprawimy wam piękne wesele. Obiecuję Wam to... - zamilkł, kiedy spostrzegł, że wchodzi już na plac przed kościołem, na Starym Rynku...

Szukałam wzrokiem mojego Stasia. Próbowałam podejść bliżej, ale nie udało mi się. Mnóstwo zapłakanych kobiet wołało imiona ukochanych. Zaczęłam też krzyczeć. To nic nie dało. Musiałam poczekać. Kiedy ja nie chciałam już dłużej czekać!!! Pragnęłam go przytulić i pocałować. Z zamyślenia wyrwały mnie łkania dzieci. Odwróciłam głowę. Zobaczyłam jak ziewająca ze zmęczenia i zapłakana Marysia przytulała się do matki. Jasnowłosey Antoni stał ze spuszczoną głową i trzymał w drobnych dłoniach ciemnobrązową skórzaną szkolną czapkę. Chciał pokazać jakim jest twardzielem, ale ja i tak wiedziałam, że cicho płacze. Obserwując moją rodzinę nie spostrzegłam tego, że Stanisław jest obok mnie.

- Już jestem najdroższa. – powiedział ze spokojem obejmując mnie.

Rozpłakałam się. Położyłam głowę na jego ramieniu i zamknęłam oczy. Zaczęłam wspominać nasze pierwsze spotkanie. Widziałam jego śmiejące się oczy. Przypomniałam sobie nasz pierwszy spacer. Tak bardzo chciałabym zatrzymać czas...

- Już dobrze – pogłaskał mnie po głowie.

- Chciałbym ci coś ważnego powiedzieć... Wyjdiesz za mnie...? – klęknął, a po chwili z kieszeni munduru wyciągnął pierścionek.

- T-tak... - zaniemówiłam a po policzkach potoczyły mi się łzy.

- Teraz już nic nas nie rozłączy. - odrzekł wkładając mi na palec pierścionek...

~~~

- Tatusiu, kiedy wrócisz? – zapytała się trzymana w ojcowskich ramionach mała Maria.

- Niebawem, córeczko. Pamiętaj, że tata zawsze będzie cię bardzo kochać. – ucałowałam czołko mojej małej księżniczki.

Zastanawiałam się, co mam jej powiedzieć. A co, jeśli nigdy już nie wrócę? Kiedy patrzyłam na jej twarzyczkę serce pękało mi na drobne kawałki. Westchnąłem. Postawiłem małą na kamienną kostkę i gdy usłyszałem, że musimy już iść ucałowałam Mariannę.

Odchodząc odwróciłem się, aby po raz ostatni spojrzeć na moją rodzinę... Walczę przecież dla Ojczyzny i dla nich. Tak bardzo bym chciał, żeby wszystko było jak kiedyś. Będę tęsknić za codzienną grą w szachy z Antosiem, za jedzeniem wspólnie skromnej kolacji, za czytaniem do snu małej Marii, za nadopiekuńczością Marianny i nawet za fochami Zosi...

~~~

- Święty Michale Archaniele! Wspomagaj ich w walce, a przeciw niegodziwości i zasadzkom złego ducha bądź ich obroną... Amen. – szeptałam ze złożonymi w geście modlitwy dłońmi.

Nie mogłam przestać myśleć o tym, że teraz zostałam całkowicie sama. Z trójką dzieci... Dam sobie radę... muszę. Muszę być wytrwała i cierpliwa. Z pomocą bożą przetrwam każdy sztorm. Z kontemplacji wyrwał mnie delikatny, chłopięcy głos.

- Mamo, tato już nie wróci, prawda? – zadał pytanie siadając obok mnie na łóżku

- Wróci, na pewno wróci. – wyszeptałam

- Nie jestem już małym dzieckiem, przecież wiem, że kłamiesz. Są małe szanse, żeby wszystko skończyło się dobrze! – krzyczał.

- Nie krzycz. Zaraz wszystkich pobudzisz. Uspokój się, dziecko. – rzekłam dobitnie

- Jak mam być spokojny, skoro nawet nie wiem czy jeszcze kiedykolwiek się z nim zobaczę. – zacisnął pięści. Wiedziałam jak bardzo ta sytuacja go niepokoiła.

- Musimy bardzo mocno wierzyć, a wtedy tata wróci. – objęłam go i pogłaskałam go po włosach.

Siedzieliśmy tak jeszcze przez dłuższą chwilę, kiedy nagle Antek wypalił: - We wszystkim ci pomogę mamo. Obiecuję. - Uśmiechnęłam się i razem położyliśmy się spać... Przez całą noc śniły mi się straszne rzeczy... Czułam się taka bezsilna, bo wiedziałam, że i tak nie mogłabym nic zrobić. Spróbowałam zasnąć po raz kolejny. Zamknęłam oczy i w końcu zasnęłam.

~~~

Nie działo się dobrze. Moskale nas najechali. Zaczęła się prawdziwa walka na śmierć i życie. Strzelałem ze swego sztucera najcelniej jak potrafiłem. Wszystko wokół mnie działo się tak szybko. Szukałem wzrokiem pośród

walczących Jana. Do tej pory odpierał ataki. Widziałem, że z każdą chwilą ma coraz mniej siły, dlatego postanowiłem mu pomóc. Już prawie naciskałem spust broni, gdy nagle poczułem przeszywając ból w okolicy prawego uda. Dotknąłem je lewą dłonią, która po chwili stała się cała czerwona. Trafili mnie... Czułem, jak wali mi serce. Padły kolejne strzały... Leżał w kałuży krwi, szepcząc ostatnie słowa. Jan... Podbiegłem do niego, ale kiedy próbowałem kucnąć zasyczałem z bólu.

- Zajmij się moją rodziną. Zosia cię potrzebuje. Uciekaj stąd, synu. – Jan odszedł już na zawsze...

- Zrobię wszystko co każesz. – uczyniłem mymi palcami na jego czole znak krzyża i powoli podniosłem się.

Ręce odmówiły mi posłuszeństwa. Zamiast strzelać, rzuciłem broń na ziemię. Słaniałem się na nogach. Poczułem silny ból w klatce piersiowej. Zerwałem z mej szyi żelazny krzyżyk, który ostatkiem sił zacisnąłem w pięści. Odchodzę. Przewróciłem się. Leżałem przy wiekowym dębie. Czy tutaj będzie ma mogiła? Ciężko było mi oddychać. Wiedziałem, że są to moje ostatnie chwile na tym świecie...

Nagle ujrzałem pochylającą się nade mną ciemnowłosą Zosieńkę. Ale nie rozumiałem nic co mówiła. Szeroko się uśmiechała, a po chwili odeszła...

Czułem jak bardzo ciężą mi powieki. Nie miałem już dłużej siły. Zamknąłem oczy. Byłem już tam. Tam, gdzie nigdy nie ma wojny czy powstań... W Domu Ojca z żelaznym krzyżem w dłoni...

## Jeden zły ruch

Ukrywaliśmy się w starej szopie od chwili, gdy wybuchło powstanie. Mój starszy brat kazał nam schować się w tym miejscu. Podał mnie i Feliksowi nóż, a następnie zamknął drzwi i wyszedł.

Otuliłam mocno młodszego brata paltem i starałam się go uspokoić. Na zewnątrz wrzało. Padały już pierwsze strzały. Ludzie krzyczeli, zostając ranni. Dało czuć się swąd palonych, drewnianych konstrukcji okiennic. Przysunęłam się bliżej ściany, by móc patrzeć przez szparę w deskach na to, co rozgrywało się na ulicach mojej miejscowości. Cywile wymieszani wraz z wojskowymi. Żołnierze polscy oraz carscy toczyli ze sobą bój. Wśród zgiełku dostrzegłam Stefana, który odważnie i z uporem stawiał opór wobec wroga. Wymachiwał szablą za każdym razem trafiając w atakującego. Obserwowałam to z niepokojem. Będąc ledwie piętnastoletnią dziewczyną nie wyobrażałam sobie tego, co widziały moje oczy w tej właśnie chwili. Bronił się długo, lecz w pewnym momencie został dźgnięty ostrzem bagnetu. Do moich oczu napłynęły łzy. Chciałam wyjść z tej szopy, jednak Feliks szarpnął mnie za rękę.

- Nie wychodź! - krzyknął - Nie widzisz, co się tam dzieje?! - powstrzymał mnie od wyjścia z kryjówki.

Poprosiłam go, aby się przysunął do mnie i mocno przytulił. Miał wprawdzie dziesięć lat, jednak był bardzo dojrzałym i uczuciowym chłopcem. Gdyby nie on, z pewnością nie mogłabym później pomóc Stefanowi. Zamknięta niczym ptaszek w klatce patrzyłam na rzeź, która rozgrywała się tuż przede mną. Tak licha ściana dzieliła mnie i mojego brata od piekielnej batalii. Niespodziewanie, gdy oderwałam spojrzenie od Stefana leżącego na ziemi, ujrzałam Panią Marię Piotrowicz wraz z mężem. Kobieta w dłoni trzymała broń palną. Była nieugięta. Strzelała celnie i nie bała się stanąć przeciwko żołnierzom, którzy pragnęli jedynie jej śmierci. Jej oraz każdego, kto sprzeciwił się władzy cara.

Kule niesione przez Boga i posyłane przez celnych strzelców trafiały... Tym razem Bóg posłał kulę w kierunku Polaków. Piotrowiczowa spojrzała zaskoczona na siebie. Dłonią dotknęła ranę. Upadła na ziemię. Pan Konstanty walczył dalej. Śmierć ukochanej żony doprowadziła go do szaleńczej rozpacz.

Strzelał i ciał ostrzem szabli, jakby nic innego nie miało teraz znaczenia. Obserwowałam go w milczeniu, ze łzami w oczach.

Wrzawa powoli cichła. Rosjanie wycofywali się, pozostawiając za sobą plac pełen ciał. Ludzie, gdy tylko wroddy żołnierze zniknęli, wyszli z domów. Niektóre budynki nadal płonęły. Na ulicy leżeli bliscy oraz dalsi znajomi. Niekiedy rodzice, rodzeństwo lub małżonkowie. Miejscowi płakali, tuląc do siebie zmasakrowane oblicza ukochanych ludzi. Niespiesznie z Feliksem wyszliśmy z naszej kryjówki. Dokładnie wiedziałam, gdzie znajdował się Stefan. Nie ruszał się, gdy do niego pod biegaliśmy.

- Stefan! Braciszku! - krzyczałam, biegnąc w jego kierunku.

Mój brat poruszył się. Kamień spadł mi z serca, gdy uświadomiłam sobie, że jeszcze żyje. Zbliżyłam się do niego i mocno przytuliłam. Chciał coś powiedzieć, ale razem z Feliksem zabroniliśmy mu się odzywać. Po krótkiej chwili pomogliśmy mu wstać i ruszyliśmy w kierunku naszego domu.

Dzisiejszego popołudnia Dobra spłynęła krwią odważnych, młodych i nieugiętych ludzi. Wśród nich nie tylko byli mężczyźni, lecz kobiety, które za wszelką cenę nie chciały czekać na wieści.

Tydzień później do naszej miejscowości wrócili carscy żołnierze. Szukali wszystkich, którzy brali udział w bitwie. Tym, którym zabrakło odwagi, uciekli jeszcze po batalii, natomiast większość pozostała. Nikt jednak nie zamierzał wystawić się na rychłą śmierć.

Wioska opustoszała. Ludność siedziała zamknięta w domach. Nie zapuszczano się nawet, aby zająć się polem czy zwierzyną w ciągu dnia. Gdy w Dobrej stacjonowali carscy żołdacy, nie odprawiano pogrzebu zmarłym. Ciało pani Marii spoczywało w dworcu państwa Piotrowiczów. Inni ludzie zaczęli chować bliskich po okolicznych lasach albo na swoich podwórkach. Stefan powoli wracał do sił. Z wolna zaczęliśmy poszukiwać możliwości opuszczenia naszego domu i udania się do Ozorkowa, w którym zamieszkiwała reszta naszej rodziny.

Gdy Rosjanie przestali okupować naszą wioskę, udało nam się wyruszyć w drogę do kuzynostwa. Wraz z przyjacielem rodziny, panem Romanem, wsiedliśmy do powozu. Między beczkami i workami ułożyliśmy Stefana, by mógł nadal wypoczywać. Obok niego usiadł Feliks, a ja z naszym woźnicą, podając się za jego córkę, jechałam na widoku. Droga minęła nam spokojnie, bez większych komplikacji. Na całe szczęście w trakcie sprawdzania wozu nikt niczego nie

podejrzewał. Moi bracia zachowywali się bardzo cicho, więc kontrolujący nie mieli żadnych zastrzeżeń co do naszego transportu.

Dotarliśmy do Ozorkowa po czterech dniach. Musieliśmy podróżować na około, by nikt nas nie skojarzył z bitwą pod Dobrą. Gdy tylko wjechaliśmy do miasteczka, skierowaliśmy się do domostwa naszej rodziny. Jechaliśmy głównymi ulicami miasta, mijając plac główny przy kościele. Podążając obok pałacu Schlosserów, przyglądałam się ich rezydencji. Po dwudziestu minutach od wjazdu do Ozorkowa byliśmy już u rodziny. Pomogli nam przy Stefanie. Zajęli się nami wszystkimi.

Minął niecały rok od tragedii, która rozegrała się na naszych oczach. Przez bardzo długi czas budziłam się w nocy. Śniły mi się wydarzenia tamtego dnia. Mieszkając w Ozorkowie przynajmniej nie widywałam ludzi, którzy tak wycierpieli w tamtym okresie. Chadzałam na rynek, szukałam tkanin dla ciotki, robiłam zapasy do domu i uczęszczałam na nauki do księży oraz kobiet w miasteczku. Życie ponownie wracało na dawne tory.

Któregoś dnia, niecały rok od bitwy natrafiłam na komunikat miejski. Dziękowałam Bogu za to, że moi świętej pamięci rodzice zapisali mnie na lekcje czytania i pisanie. Wyczytałam w nim, że dziesiątego lutego tysiąc osiemset sześćdziesiątego czwartego roku odbędzie się egzekucja na placu głównym. Pobiegłam, ile sił w nogach do domu i opowiedziałam o tym bratu. Stefan chciał za wszelką cenę pójść i zobaczyć, na kim będzie wykonywany wyrok. Nie oponowałam. W końcu już był zdrowy i doszedł do siebie. Wprawdzie od czasu do czasu odczuwał ból, ale znosił to dobrze.

Tłum ludzi czekał pod szubienicą. Wszędzie było czarno. Nie od dymu, lecz od koloru sukni kobiet i ciemnych płaszczy mężczyzn. Wszyscy tłumnie modlili się, patrząc w kierunku naszykowanego stryczka. Łzy napływały mi do oczu, gdy jednocześnie do uszu dochodziła informacja o tym, że ktoś "bardzo uprzejmy" doniósł na nieszczęśnika do władz. Mężczyzna ukrywał się, miał dom i żonę, która na dodatek była brzemienna. Trafił do więzienia w Łęczycy, gdzie nie szczędzili mu zapewne przesłuchań. Z myśli wyrwała mnie wrzawa, która nagle rozpoczęła się na placu. Wprowadzano skazańca. Jęk ludu, płacz i modlitwa mieszała się z bluźnierstwami mówionymi pod nosem mężczyzn. Stefan ujął moją rękę i stał w milczeniu. Domyślałam się, że mógł myśleć o tym, jak gdyby sam tam stał. W końcu też brał udział w walkach pod Dobrą. Zapadła cisza, gdy zakładano winnemu pętlę na szyję. Andrzej Jeziorski - wyczytano jego dane. Na mocy wyroku Cesarstwa Rosyjskiego został skazany za wrogie postępowanie

wobec władz, uczestnictwo czynne w czasie bezprawnego sprzeciwu wobec Cara w roku 1863 oraz podejmowanie dowództwa oddziałów bandyckich zwanych Żandarmerią Narodową na terenie miasta Ozorkowa w tym samym roku, dnia dwudziestego czwartego lutego, w czasie bitwy pod Dobrą. Niespodziewanie z tłumu krzyknęła zrozpaczona kobieta.

- To był syn! Nasz syn nie żyje! - upadła zboląa na klęczki.

Wtedy kat pchnął stołek. Stefan ścisnął moją dłoń. Spojrzałam na niego i ujrzałam gorycz pomieszaną z wielką nienawiścią.

- To był dowódca... - zamilkł - nie zginął w czasie powstania, żeby zginąć z rąk tych...

- Zamilcz chłopcze, bo i ciebie powieszają... - przerwał Stefanowi mężczyzna stojący przed nami - módl się, aby i ciebie nie dopadli...

Patrzyłam na mężczyznę złęknioną. Myśl o utracie ukochanego brata spowodowała, że wszelkie słowa ugrzęzły mi w gardle.

Wracaliśmy w milczeniu. Nadal mnie trzymał. Rozglądałam się po budynkach, po ludziach. Wszyscy od chwili wyroku posmutnieli. Chodzili ze spuszczonej głowami. Nawet mężczyźni. Jedyne mój brat podążał wyprostowany z wbitym wzrokiem przed siebie. Spojrzałam w jedną z szyb sklepowych. Niespodziewanie zatrzymałam się przed nią i patrzyłam na własne odbicie. Zmieniłam się. Zmizerniałam, wychudłam, na mojej twarzy już nie gościł uśmiech. Stefan w pierwszej chwili nie zorientował się, że przystanęłam, więc szarpnął mnie. Odwrócił się w moim kierunku i spojrzał razem ze mną.

- Jak bardzo zmieniła cię ta wojna. Już nie nosisz swoich ulubionych sukienek... tylko tę czarną. Tę żałobną, w której wyglądasz jak w czasie pogrzebu rodziców. - powiedział beznamiętnie.

- Jesteśmy do siebie tacy niepodobni... - westchnęłam.

Nastąpiła chwila ciszy, która wcale nie była niezręczna. Oboje jej potrzebowaliśmy.

- Już nigdy nie będziemy tacy sami Stefan...

- Im starsza jesteś, tym bardziej przypominasz panią Marię... - ruszyliśmy dalej.

Nie wiedziałam co odpowiedzieć na porównanie mnie do pani Piotrowiczowej. Nie zrobiłam nic wielkiego. Nie walczyłam tak jak ona. Nie

potrafiłam nawet wyglądać tak dostojnie jak ona. Jednak mimo wszystko podobało mi się to porównanie.

- Eliza... to jeszcze nie koniec, siostrzyczko. Jeszcze nie raz będziesz musiała to wszystko ujrzeć. - Spojrzał na mnie z powagą - Niechaj Bóg ma ciebie w opiece oraz wszystkich tych, którzy za Polskę walczyć będą. Jeden zły ruch zawsze może skończyć się tragicznie...

- Stefan Henryk Gajczyk? - postawny mężczyzna stanął nam na drodze.

- Słucham, z kim mam do czynienia? - zrobił krok do przodu, chowając mnie za sobą.

- Proszę ze mną - wskazał mu drogę, którą zmierzaliśmy. - Stefan, nie poznajesz mnie?

- Niech mi przypomni oficer, kim jest, bo pamięć widać jest ulotna.

- Dobra to był dopiero początek przyjaciela...

## BIBLIOGRAFIA

- „Ozorków - miasto niepokorne” Paweł Andrzej Górny
- <https://uml.lodz.pl/aktualnosci/arttykul/pamieci-marii-piotrowiczowej-kobiety-powstanc-160-rocznica-bitwy-pod-dobra-id58785/2023/2/24/>

### Pamiętka rodzinna

Kłapa w podłodze jęknęła cierpiennie, dając znać, że już od paru lat dokonuje żywota, przygniatana od pokoleń przez ciężkie buty właścicieli skromnych włości. Niepewne, delikatne, drżące dłonie sięgnęły po podłużny, lekko wygięty i smukły przedmiot, śpiący od kilkunastu lat spokojnie w swym sarkofagu. Trzydziestoletnia kobieta strzepnęła z pochwy kurz, pokrywający ją do tej pory szczelniej niż jakakolwiek kołdra z gęsim pierzem. Złote obicia niebezpiecznie skrzyły się w ciepłym świetle świecy, stojącej na masywnym, starym biurku. Cichy świst wypełnił pomieszczenie, gdy blondynka wyjęła energicznie szablę. W pierwszej chwili bała się spojrzeć na błyszczący, srebrny przedmiot, w obawie, co zobaczy w jego odbiciu. Gardło kobiet ścisnęło się niebezpiecznie, a serce tłukło się w klatce, niczym świeżo złapany ptak, którego pozbawiono wolności. Gdy w końcu odważyła się i uraczyła broń zalęknionym spojrzeniem niebieskich tęczy, wyszczerbione ostrze, mały, czerwony kamień oraz srebrny łańcuszek z krzyżykiem, smętnie dyndający przy rękojeści zdawały się hipnotyzować, wciągać ją we wspomnienia, których pamiętać nie chciała. Wspomnienia ukryte i zakamuflowane tak głęboko, których istnienie chciała tak bardzo wyprzeć, a jednocześnie tak wyraźne, że kobieta nie wiedziała, czy należały jeszcze do jej dziecięcego ja, czy do poprzedniego właściciela szabli, niewidzianego od 1863 roku.

Nerwowy stukot wysokich, skórzanych butów wypełniał pomieszczenie, mimo wszelkich starań ich właściciela o to, by były jak najcichsze, obudził brązowowłosą kobietę. Wysoki, dobrze zbudowany blondyn strzelał stawami, próbując w jakiś tylko sobie znany sposób opanować emocje szalejące w jego umyśle, co jakiś czas wzdychał, wypuszczając z siebie frustrację, która wypełniła cały pokój. Drzwi od pomieszczenia uchyliły się z cichym skrzypieniem, wpuszczając do niego szatynkę w białej koszuli nocnej. Wszystkie negatywne emocje wzbierające w małym gabinecie, wypłynęły z niego, rozchodząc się po całym domu, słabnąc z każdym przebytem centymetrem, przygłuszone dodatkowo aurą spokoju, bijącą od przybyłej. Kobieta podeszła do niego powoli, złączając jego dłoń ze swoją w szczelnym splocie. Jej twarz wskazywała na to, że niemo wyczekuje słów męża, które szalały w nim niczym wzburzone morze od kilku dni.

– Ta szabla... – mruknął, poklepując przywieszoną do boku broń, która zgrzytnęła cicho, jakby chciała zaznaczyć swą obecność. – Należała jeszcze do mojego pradziadka, walczyła w powstaniu listopadowym, zawsze przynosiła szczęście naszej rodzinie... Rozumiesz prawda? – patrzył na jasne lica kobiet trochę nieobecnym wzrokiem błękitnych oczu. Jego żona uśmiechnęła się pokrzepiająco, kładąc delikatną dłoń na zmęczonej twarzy mężczyzny, ocucając go ostatecznie z transu. Różowe usta złożyły krótki pocałunek na orlim nosie męża, śledzącego teraz uważnie każdy następny ruch kobiety.

– Zostaw, dam radę sam – powiedział, gdy oderwała dłoń od jego twarzy, z zamiarem zapięcia białej koszuli.

– Nie odbieraj mi tego, teraz gdy nie wiem, czy jeszcze kiedykolwiek cię zobaczę – jej głos delikatnie zadrżał, zdradzając powód długiego milczenia szatynki, walczącej skrupulatnie ze łzami, napływającymi pod powieki. Z całych sił starała się wesprzeć męża, narzucając na siebie maskę spokoju, ale była tylko człowiekiem, nawet ona nie była tak silna, by znieść tę rozłąkę.

– Musisz być dobrej myśli, kochana moja, wróć. – Klęknął przed nią, zupełnie jak w dniu, gdy poprosił ją o rękę. Pełny miłości, ale i lęku, chwycił jej dłonie w szczelnym uścisku, jakby chciał zapamiętać ich delikatną strukturę, by w chwilach zwątpienia, mógł odbudować je w pamięci.

– Obiecuję – słowo to wypowiedział twardziej niż wszystkie inne, rzucone tego dnia, licząc w duchu na to, że Bóg dopomoże mu spełnić przyrzeczenie.

Srebrny łańcuszek zabrzączał, gdy drobna kobieta drżącymi palcami zdjęła go ze swojej smukłej szyi. Delikatne usta dotknęły, rozgrzanego od ciepła jej ciała (buchającego gorącem, przez szalejące w niej emocje), srebrnego krzyżyka, który następnie założyła mężowi, patrząc na niego z wielką tęsknotą. W tej krótkiej chwili było tak wiele uczuć i swego rodzaju doniosłość, że atmosfera dookoła nich diametralnie się zmieniła. Mężczyzna wstał z klęczka, wycierając pojedynczą łzę, spływającą po rumianych policzkach kobiet. Nie mogąc dłużej patrzeć na jej cierpienie, pośpiesznie wziął swoje skromne pakunki i wyszedł z pokoju, zostawiając za sobą pogrążoną w transie żonę. Oboje wiedzieli, że to dla dobra ojczyzny, ale to nie znaczyło, że rozłąka miała nie boleć. Wręcz przeciwnie. Kobieta bowiem wiedziała, że jeśli straci i męża, nie zostanie jej już prawie nic, a ich córka nawet nie zazna wolnej i niezależnej. Jednak starała się wierzyć, całym sercem i duszą, że blondyn wróci, niosąc ze sobą wolność.

Pośpieszne kroki mężczyzny, krzątającego się jeszcze ostatni raz po domu, tworzyły ciężką akustykę, dobiegającą do kobiety, wprowadzając ją w przestraszone

drgania, za każdym kolejnym stuknięciem podeszwy o podłogę. Oboje liczyli tylko na to, by najmłodszy członek rodziny spał snem kamiennym. Matka nie zdawała sobie jednak sprawy z tego, że mała, chorowita blondyneczka od początku podsłuchiwała całą rozmowę, a potem podążała za ojcem, niczym cień, na drżących, bladych nóżkach, człapiąc bezszelestnie. Zwróciła na siebie uwagę, dopiero gdy jej ciekawość nie wytrzymała, widząc jej ojca, walczącego z samym sobą z dłonią na klamce od drzwi wyjściowych.

– Opuszczasz nas, tatusiu? – cieniutki głosik przeszył jego serce, boleśniej niż jakikolwiek sztylet. Trudna do przełknięcia gula stanęła mu w gardle, czując się tak, jakby słowa dziecka są bardziej brutalne niż jakiekolwiek tortury, które mogłyby go spotkać.

– Muszę wyjechać na kilka dni, kochanie – powiedział, jak najdelikatniej mógł, kucając przed dziewczynką ściskającą w drobnych rączkach materiał koszuli. – Nie martw się, za niedługo wrócę – mężczyzna ostatnimi siłami powstrzymywał cisnące się do oczu łzy, łapiąc w uścisku twardych dłoni, malutkie palce córki. Odgłosy szybkiego stuknięcia ciemnych trzewików brązowowłosej kobiet wybudziły blondyna z transu. Chrząknął, wypuszczając dziewczynkę z uścisku. – Późno już malutka, idź do mamy.

\*\*\*

Ogień tańczył delikatnie na wietrze, odbijając się w oczach zgromadzonych przy nim, zmęczonych mężczyzn. Drewno co jakiś czas strzelało płonącymi odłamkami, pękając przez wysoką temperaturę. W tę zimową noc, niszczycielski, brutalny żywioł wydawał się im być darem niebios, grającym melodię, dającą im minimum otuchy. Para buchała z ust, sinych od zimna, tworząc nad obecnymi chmurę dymu. Metalowe, lekko zardzewiałe kubki brzękały i obijały się o zęby, gdy spragnieni biesiadnicy sięgali po nie z zamiarem napicia się gorącego mleka, podarowanego przez okolicznych chłopów.

Śnieg zaczął pisać pod ciężkim obuwiem jednego z mężczyzn, zbliżającego się powoli do prowizorycznego obozowiska. Szabla zawieszona przy jego boku zgrzytała niebezpiecznie, jakby wyrażając rządę krwi, a czerwony kryształ rzucał gniewne spojrzenie na zgromadzonych. Kaszket przewieszony przez ramię klekotał, jak stara metalowa zabawka dziecka, którego tak dawno blondyn nie widział. Zaciągnął na uszy futrzaną czapkę, dosiadając się na wolnym skrawku pieńka. Zazwyczaj atmosfera w obozie nie była tak napięta, jak tej nocy. Dało radę usłyszeć się rozmowy, śpiewy, ba, nawet śmiechy. Co więc się zmieniło?

Blondyn odpiął czarny kozuch, wyjmując spod niego bochenek czerstwego chleba. Oderwał sobie kawałek i podał go dalej, dzieląc się z towarzyszami doli. Jeden z nich, czarnowłosa, najmłodszy ze wszystkich rzucił mu pytające spojrzenie, a ludzki głos po raz pierwszy od kilku godzin wybrzmiał, przerywając naturze jej groteskową symfonię.

– Tylko tyle? Ostatnio dawali więcej – mruknął, odchrząkując chrypkę, która powstała przez godziny ciszy. Przez jego umysł przebiegła myśl, że może jest zbyt arogancki, jednak głód wzbierał w nim, odejmując mu resztki dobrego wychowania, nad którym tak pracowała jego matka. Któryś z mężczyzn, mając gumowaty chleb w zębach, burknął coś niezrozumiałego dla młodego chłopaka, jednak ten wywierał wzrokiem dziurę w brzuchu blondyna, który chwilę wcześniej wrócił od pobliskich chłopów, błagając o rację, dla małego oddziału partyzantów.

– Nie jesteśmy im tu na rękę, chłopcze – mruknął ten, na którego odpowiedź tak brunet czekał. – Jak mogłeś zauważyć, jest zima, oni również mają problem ze znalezieniem jedzenia, na domiar złego ostatnia krowa im padła, nie wytrzymała mrozu – powiedział z krótkimi przerwami, pijąc lekko ochłodzone już mleko i jedząc chleb w nim maczany.

– Czyli nie należy się nam nic? – warknął, wstając gwałtownie ze spróchniałego pieńka, który chrupnął i jęknął, gdy w końcu ciężar ciała chłopaka go opuścił.

Blondyn rzucił mu tylko zmęczone spojrzenie. Nie miał siły klócić się z młodzieńcem. Właściwie nie miał już siły na nic. Właściwie oni wszyscy nie mieli już siły. Opadłe ramiona, podnosiły się w miarowy, spokojny rytm, tak nietypowy dla żołnierskich klimatów. Zapadłe policzki drżały przy każdym ruchu szczęką, a zarost drapał każdego z nich.

Co się zmieniło?

Dopał ich głód, zmęczenie, zima, tęsknota i starty w ludziach. Oddział liczący kilkudziesięciu rośliwych mężczyzn, teraz zostało zaledwie piętnastu, jak z początku mieli jeszcze jakąkolwiek nadzieję, tak teraz wszyscy, niektórzy mniej, inni więcej, zdawali sobie sprawę z tego, że nie są w stanie przetrwać następnego starcia z wojskami cara. Świadomość ta dochodziła do nich, dobitnie przypominając o rychłej śmierci, która była tylko kwestią kilku dni, może tygodni. Tylko hardy młodzieniec nie mógł znieść myśli, że za jakiś czas już nigdy więcej nie ujrzy wschodu słońca, a poczucie niesprawiedliwości tliło się w nim, jak gasnące ognisko, otulające ich swym ciepłem do snu.

\*\*\*

Bitwa nadeszła szybciej niż myśleli. Zostali w swoim obozowisku o jeden dzień za długo, nim którykolwiek z mężczyzn zdążył się zorientować, rosyjska kula przeszła serce jednego z ich towarzyszy, który padł na biały puch, niczym płatek śniegu. Czerwień rozeszła się po powierzchni jak zaraza, rozlewając się coraz bardziej.

Oddział carski nie był zbyt duży, jednak wystarczyłby zagonić ich w sytuację bez wyjścia. Towarzysze blondyna padali jeden za drugim, topiąc go w czerwieni, która otaczała go z każdej strony. Czerwony śnieg, czerwone mundury, czerwony kamień na jego szabli. Blondyn podbiegł do ostatniego żywego kamrata, łapiąc młodego chłopaka za kubrak, biegnąc z nim w głąb lasu.

– Co robisz? – krzyknął, próbując wyrwać się z silnego uścisku mężczyzny.  
– Nie uciekniemy im oboje, jesteś ranny – chłopak mówił dalej podniesionym głosem, wskazując na nogę blondyna, który dopiero teraz zauważył czerwoną ciecz, wypływającą z rany na prawej nodze i ścieżkę, jaką krew utworzyła na śniegu. – Jeśli mamy zginąć, to zrobimy to razem – złapał za kaszkiet, gotowy wracać na miejsce walki.

– Stój! – warknął niebieskooki, z którego adrenalina zaczęła powoli schodzić, a ból w nodze nagle doskwierać, czuł, jakby ktoś przystawił mu do skóry rozgrzany pręt. Ołowiana kula jakby piekła od środka, drażniąc tkankę i nerwy postrzelonego, który zaczął odpinać swoją szablę i rozbierać się, rozglądając co jakiś czas czy wojska carskie są jeszcze daleko. – Słuchaj mnie chłopcze, jestem twoim dowódcą. Zrobisz to, co ci każę, zrozumiałeś? – brunet kiwnął niepewnie głową, patrząc niezrozumiale na mężczyznę, który rozpiął srebrny łańcuszek z krzyżykiem i przypiął go przez uchwyt na pochwie z szabłą. Z paniką w oczach spojrzał na chłopaka, łapiąc jego śniadę od zimna dłoń w drżącym uścisku, wciskając mu broń. – Zanieś to mojej żonie, wiesz, gdzie mieszka. – Brunet już otwierał usta, by zaprotestować, jednak blondyn wyprzedził go. – To nie prośba! To rozkaz. Zrozumiano?

Gorycz na twarzy chłopaka malowała się, a jego oczy wykręcały w głowie mężczyzny dziurę, płonąc gniewem. Jednak rozkaz to rozkaz, nawet tak niepokorny duch, jak on, rozumiał, że jest jedyną szansą, by opiewać chwałę tego mężczyzny, jak i reszty poległych towarzyszy. Gniew wyparował wraz z jego szaleńczym biegiem przez ciemny bór, który grał mu melodię, zupełnie jakby starał się zagłuszyć huki strzałów w oddali.

\*\*\*

Kocie łby skrzyły się od szronu i śniegu w blasku porannego słońca. Nienaruszone jeszcze ludzką stopą. Szybko jednak pojawiła się nad nimi postać kata, którym była młoda blondynka z orlim nosem, ciągnąca za sobą płótniany worek, drażący w nich śnieżkę, zdzierający brutalnie delikatny puch. Dziewczyna sapnęła, puszczając przedmiot, w którym kilka rzeczy zabrzęczało, przykuwając uwagę kulawego na prawą nogę psa, śpiącego do tej pory po drugiej stronie ulicy. Pociągnęła nosem, łapiąc się za talię, czując ból kręgosłupa. Burek trzymał na niej swój uważny wzrok przez dobrą chwilę, jednak persona dziewczyny szybko go znudziła, otrzepał łepiek z białego puszkę i klapnął paszczą, ziewając, po czym wrócił do smacznego drzemania. W głowie młodej kobiety zajaśniały myśli, że ona również z chęcią poszłaby teraz spać. Wymruczała pod nosem kilka przekleństw, które może jej nie wypadały, jednak kogo w tym momencie to obchodziło?

Rozłożyła stary podziurawiony koc, ustawiając swoje pozorne stoisko, na którym jak co dzień miała sprzedawać starocie. Ostatnimi czasy nawet o to było ciężko, więc asortyment trochę jej zmalał, nie znaczyło to wcale, że stawał się lżejszy. Żeby zainteresować ludzi, sięgała po coraz cenniejsze rzeczy, byle tylko nie wrócić do domu bez pieniędzy. Z matką ledwo wiązały koniec z końcem. Szabla zastukała, a czerwony kamień zajaśniał złowieszczo w blasku, jakby rzucając jej gromiące spojrzenie. Dziewczyna westchnęła, bijąc się z myślami. Wtedy zauważyła, jak kulawy pies przekręca ciekawski łepiek, również przyglądając się jej, to ostrzu skrytym w pochwie.

– Czy ja naprawdę robię coś złego? – szepnęła. Czuli się winna, ale też bezsilna. Nie miała wyjścia, tak przynajmniej myślała.

Godziny mijały nieubłagane, a młoda kobieta marzła w niezwykle zimny, styczniowy dzień. Utarg nie był zadowalający, jednak zbliżał się powoli zmierzch, a blondynka musiała wracać do schorowanej matki, zaopiekować się nią i otulić miłością, jak to ona niegdyś ją za dziecka. Chwyciła szablę, z zamiarem spakowania jej z powrotem do brudnego, przemoczonego od śniegu worka. Nagły ból przeszedł jej delikatną dłoń, a broń zajęczała, gdy oficerski but zgniótł rękę dziewczyny. Odruchowo próbowała ją wyrwać, czując się jak kanarek w klatce, jednak carski żołnierz naparł na nią jeszcze mocniej, wykręcając kilka razy stopę, przecierając jej skórę. Dziewczyna syknęła, starając się powstrzymać napływające do oczu łzy. Wraz z tym, dało się słyszeć ciche warknięcie kulawego psa, który po raz pierwszy tego dnia postanowił wstać ze swojego miejsca i patrzył

hardo na tęgiego mężczyznę.

Żołnierz mówił coś niezrozumiałego dla młodej kobiety, puszczając w końcu jej rękę, jakby od niechcenia. Skołowana blondynka nie do końca rozumiała słowa przybysza. Jej matka po powstaniu zadbała o to, by jej córka nie operowała językiem wroga i pielęgnowała ten ojczysty. Mężczyzna odchrząknął, czekając na odpowiedź, jednak widząc wyraz twarzy kobiety, zrezygnował z jakichkolwiek minimalnych uprzejmości. Odepchnął ją, przez co dziewczyna uderzyła głową o ścianę budynku. Leżała utaplana roztopionym, brudnym śniegiem. Pies z drugiej strony ulicy zaczął głośno ujadać, skacząc i warcząc na przemian, a kiedy carski żołnierz zaczął schylać się po szablę, zwierzęcy kaleka jakby nie wytrzymał. Przebiegł przez ulicę i rzucił się do nogawki mężczyzny, szarpiąc, gryząc go do kości. Oszołomiona kobieta dopadła do jedynej pamiątki po ojcu jak największego skarbu na świecie. Zamachnęła się i przyłożyła skrytą w pochwie szablą w głowę żołnierza. Uderzenie było tak silne, że umundurowany zemdlął.

Niewiele myśląc, blondynka o orlim nosie, zaczęła uciekać z miejsca zdarzenia. Przytuliła szczelnie do kołatającej piersi szablę, wołając za sobą kulawego burka, goniącego za nią z jakąś nieopisaną radością. Nawet rzeczy martwe dostały jakby lepszego humoru. Czerwony kamień na szabli nie łypał już złowieszczo, wręcz promieniał czymś na wzór dumy.

**Ruszajmy! Już nastał czas!**

**M**onotonne dobijanie się deszczu do domu, zaczynało już męczyć pewnego mężczyznę. Wojciech, siedząc na krześle, rozmyślał jedynie o tym, co nowego może przynieść następny dzień. Jego ręce obolałe od pracy chciały odpocząć, a jednocześnie były gotowe do działania.

Po prawej stronie Wojciecha spała już jego żona – Anna. Jej sen miał niespokojny charakter. Prawdopodobnie przeczuwała, że za niedługo wszystko się odmieni, a jej dotychczas spokojne życie przeistoczy się w pełen radości, ale również bólu, splot wydarzeń.

I tak też było. Wojciech usłyszał nagle huk, który jednak szybko zniknął gdzieś w powietrzu. Okazało się, że jego sąsiedzi zaczęli wychodzić na ulicę. Nie było ich wielu, lecz to, jak opuszczali swe domy, sprawiło, iż drzwi zatraskiwane w energiczny i pełen chęci do działania sposób, wytwarzały bardzo charakterystyczny i stłumiony trzask.

Mąż Anny zaintrygowany tym, co ujrzał, postanowił wyjść na dróżkę, przy której mieszkał. Jego dom znajdował się tuż na obrzeżach niewielkiego miasta położonego w regionie łódzkim. Zbyt szybkie wyjście na zewnątrz trochę zahamowało Wojciecha. Zatrzymał się on tuż na progu drzwi, gdyż w oczy mimowolnie uderzył go blask księżyca widocznego jeszcze na lekko zachmurzonym niebie.

Nagle na Wojciecha wpadł jego sąsiad – Antoni. Po niedługim zamyśleniu obaj mężczyźni rozpoczęli rozmowę:

- Przepraszam, spieszę się! Sam wiesz... – powiedział przechodzień, lecz po spostrzeżeniu zakłopotania na twarzy Wojciecha dodał – No jak to! To ty nic nie wiesz?

- O co chodzi? Czy coś się stało? – zapytał dwukrotnie.

- Powstanie! W końcu się doczekaliśmy! – wykrzyknął radośnie i pobiegł dalej.

Krew Wojciecha nagle zagotowała się do działania. Informacja usłyszana od sąsiada wprowadziła go w euforię, gdyż na ten moment wyczekiwał od dawna. Wróciwszy się do domu, aby pożegnać się z jeszcze rozespaną żoną- która także

obudziła się przez gwar – wybiegł z powrotem na dwór i rozentuzjasmowany dogonił Antoniego.

Nie wiedzieć, kiedy obaj mężczyźni znaleźli się w jednym z punktów, gdzie organizowano oddział powstańczy. Była ta sama noc, a księżyc przesunął się całkowicie za ciemną chmurę. Deszcz nasilił się i dodał tym samym odwagi partyzantom, którzy wyczekiwali przydzielenia im zadań. Sikorski – bo takim nazwiskiem posługiwał się Wojciech – z dumą wziął broń w rękę i wyruszył na bój.

Panowała radosna atmosfera. Wszyscy zebrani ludzie śmiali się i przygotowywali do walki. Ci, którzy byli nieobecni, dawno już spali. Wśród nich znajdowały się osoby niewidzące sensu w mającym wybuchnąć zrywie. Bali się represji czy też uważali, że ta sprawa ich nie dotyczy. Druga opcja uwidoczniła się szczególnie wśród chłopstwa, choć przywódcy powstania starali się robić wszystko, aby to zmienić.

Z biegiem czasu nasiliły się potyczki i powstańcy zdobyli więcej doświadczenia w życiu w nowej rzeczywistości. Wszyscy z nich tęsknili za swoimi zmartwionymi rodzinami, lecz jednocześnie przy przyjętej postawie trzymał ich duch walki. Chcieli oddać swe życie, by Polska mogła stać się wolnym państwem.

Na twarzy Wojciecha także ukazywała się wyjątkowa tęsknota. Rozpamiętywał on o żonie i nie mógł się doczekać, gdy ujrzy ją po raz kolejny. Codziennie rozmyślał o niej, a jego koledzy wspierali go i pocieszali.

Po miesiącu kilku pomniejszych walk w lutym powstańcy dotarli do Zgierza. Ich oddziałem dowodził już dr Józef Dworzaczek - pewien lekarz z Łęczycy. Wojciech szedł powoli dróżką wraz ze swym sąsiadem - Antonim. Rozmawiali oni o dotychczasowych przeżyciach i troskach. Jednocześnie dalej mieli jednak siłę i chęć, aby walczyć i zwyciężyć.

Oddział Dworzaczka zaopatrzył się w Zgierzu w żywność i udał się do Dobrej, gdzie założono obóz. Wojciech był już zmęczony, lecz nawiązał jeszcze krótką rozmowę z siedzącym obok niego Krzysztofem.

- Myślisz, że będzie sukces? - zapytał Sikorski.

- A jakże! Jeszcze rozgromimy Rosjan! - odpowiedział ochotczo Krzysztof i podrzucił rogatywką do góry. Ta wydała z siebie wesoły szelest i szybko wróciła do rąk powstańca.

- Mam przeczucie, że za niedługo się z nimi spotkamy. Węszą za nami!

- Spotkamy się z nimi, to ich wykurzymy. Pamiętaj o tym! Wiesz, o co walczymy...

Tu Sikorski zamyślił się i wesoło przytaknął. Wiedział, że nie może się poddać. Był gotowy do walki i chciał, aby w końcu jego ojczyzna była niepodległa. Miał dość postępującej rusyfikacji. Wojciech doskonale zdawał sobie sprawę, w jakiej sytuacji znajduje się Polska. Kolejne szczątkowe informacje, które docierały do niego z Warszawy, motywowały go do działania. Miał dość słyszenia o prześladowaniach. Nie chciał dowiadywać się o kolejnych Pięciu Poległych. Pragnął, by Polacy byli wolni.

Nastał 24 lutego. Słowa Wojciecha okazały się prawdą. Rosjanie rzeczywiście podążali za powstańcami. Byli już przygotowani. Niezmiernie szybko zaczęło się natarcie.

Wszyscy powstańcy próbowali godnie walczyć i odeprzeć atak. Kosynierzy mimo wielu prób kontrataku zostali pokonani przez oddziały Rosjan. Potyczka ta okazała się jednak klęską Polaków. Wojciech, oddalając się z miejsca bitwy, widział po drodze jeszcze kilku współtowarzyszy próbujących się bronić. Nie mógł jednak nic zrobić, gdyż do walk przystąpili bezwzględni Kozacy. Sikorski zauważył między innymi pewną kobietę. Na początku nie mógł jej rozpoznać, gdyż dzielnie stawiała ona opór dużym grupom przeciwników i energicznie się z nimi biła. Po chwili jednak ujrzał jej pełne nadziei i godności oczy, które spotkały się z jego wzrokiem. Wojciech przypomniał sobie, kim jest tajemniczy powstaniec. Była nim Maria Piotrowiczowa.

Kobieta ta nie chciała się poddać. Sikorski widział jej mężną walkę. Broniąc sztandaru oddziału, przy użyciu rewolweru i kosa, zabiła dwóch Kozaków. Niestety ostatecznie została pokonana. Wojciech widział jeszcze moment, kiedy przeciwnik brutalnie mordował Marię, gdyż postanowił ukryć się za drzewem i jeszcze chwilę - tę ostatnią gorzką chwilę - poobserwować przebieg potyczki. Ciało Piotrowiczowej zostało zbezczeszczone za pomocą szabli. Sikorski nie mógł wytrzymać tego widoku i zbiegł z pola bitwy.

Mijały miesiące, a wraz z nimi rosła liczba kolejnych potyczek i bitew. Wojciech zdobywał coraz więcej doświadczenia i nie poddał się po klęsce, jaką poniósł wraz z oddziałem pod Dobrą. Po tej bitwie bowiem znalazł się w jednym z połączonych oddziałów Sokołowskiego i Szumlańskiego, którymi dowodził mjr Robert Skowroński.

Czas od pamiętnego dnia lutego aż do września był wyjątkowy dla Sikorskiego. Był jednocześnie pełen radości z niektórych wygranych walk, lecz

również przeplatany tęsknotą za Antonim. Jego sąsiad zawsze umiał podnieść na duchu Wojciecha w ciężkich chwilach - oboje bardzo się zżyli. Ostatni raz, gdy razem się widzieli, miał miejsce podczas bitwy pod Wolą Cyrusową. Antoni jej nie przeżył.

Niespodziewanie nastał wrzesień. Świat Wojciecha zaczął pogrążyć się w niewielkim mroku. Podczas pochodu z oddziałem, Sikorski widział grupy ptaków, które doniosłe przelatywały nad głowami powstańców. "Coś się kończy" - pomyślał Wojciech, lecz szybko odrzucił tę myśl - była dla niego nie do przyjęcia. Widział on jeszcze szansę na powodzenie powstania. Obserwował naturę, która pozostała po lecie i dostrzegał w niej piękno. Na drzewach wisiały jeszcze dojrzałe owoce, które ochoczo zrywane były przez przechodzących powstańców i jedzone z zadowoleniem. Przynosiło to niektórym radość i wydaje się, że nawet dawało nadzieję na odzyskanie ziemi - tej obfitej ziemi...

Wojciech na początku miesiąca wrócił do domu. Jego żona niezmiernie ucieszyła się na widok męża i wyszła mu na powitanie, mówiąc:

- Nie wierzę! Tak dawno... Ile cię nie widziałam... To przecież tyle... - Krzyczała radośnie, przerywając sobie samej kolejne zdania.

W tym czasie Sikorski podbiegł do żony i mocno ją objął.

- Tęskniłem! - odrzekł. - Nawet nie wiesz, jak bardzo tęskniłem. - dodał. I po tym zdaniu obojgu zakręciła się łza w oczach.

- Jestem! I codziennie o tobie pamiętam. Modlę się o to, abyś przeżył ten niespokojny czas...

Oboje usiedli w przedpokoju na ławce. Nie weszli dalej - Wojciech wiedział, że musi wracać. Na początku siedzieli w milczeniu, lecz później jeszcze powspominali dawne momenty spędzone razem w domowym zaciszu. Ich pożegnanie okazało się cięższe niż to ostatnie. Sikorski wiedział o tym, że Anna nie powinna się stresować - dbał o nią i pocieszał, jak tylko mógł.

10 września okazał się dla Wojciecha kolejnym bolesnym dniem. Tym razem to oddziały, w których się znajdował, natrafiły na Rosjan. Działo się to we wsi Dalików. Doszło do starcia, zakończonego kolejną porażką Polaków. Skutki tej potyczki odczuła jednak cała wioska, która została spalona. W pożarze poległo także wielu jej mieszkańców. Oddziały rosyjskie ponownie okazały się bezwzględne.

Wojciechowi kolejny raz udało się przetrwać - nie wiedział jednak, jak okrutni mogą się okazać także ludzie, których zna.

Po tej klęsce powrócił on do domu. Był zawiedziony. Nie wiedział, co myśleć o powstaniu, w które tak bardzo się zaangażował. Liczne błędy dowódców irytowały go - chciał walczyć, ale sytuacja powstańców z dnia na dzień się pogarszała. Osobą posiadającą dalej wiele nadziei, okazała się Anna, która pocieszała męża i starała się dyskutować z Wojciechem na temat jego wszelkich zmartwień.

Po kilku tygodniach każdy dzień Wojciecha i Anny zaczął mijać spokojnie. Sikorski nie brał udziału w żadnych potyczkach - wycofał się - choć nieraz próbował powrócić do innych oddziałów w sąsiednich regionach.

Październikowy czas przyspieszył bieg życia Wojciecha. Sikorski miał już wyruszać do walki, gdy nagle stała się niespodziewana i druzgocąca rzecz. Dwa ciężkie i naprawdę głośne stukania do drzwi poderwały Annę i jej męża z zamyślenia. Szybko dźwięk ten uciążył im na sercach - nie wiedzieli, co się dzieje, a nastał już przerażający i chłodny zmrok.

Pierwszą osobą, o której pomyślał była sąsiadka. Choć z początku stało się to pewnym wyjaśnieniem tej dziwnej sytuacji, to po chwili w głowie Sikorskiego zapanował chaos. Zadawał sobie pytania: "Może to koniec? Przyszedłby po mnie oddział powstańców?". Nie myśląc racjonalnie, podbiegł momentalnie do drzwi i je otworzył. Ujrzał stojących Rosjan, którzy zaczęli z nim dziwną rozmowę:

- Witaj oficerze! - powiedział ironicznie Rosjanin i uśmiechnął się do swojego współtowarzysza.

Wojciech zamarł, lecz pomyślał chwilę nad odpowiedzią i rzekł:

- Pewnie mnie z kimś pomyliliście? Czy coś się stało?

- Tak. Oj! - Tu Rosjanin złapał się za głowę i zaczął udawać zakłopotanie całą sytuacją - Myślę, że sam wiesz... Przecież ktoś jest z nami uczciwy!

- Nie rozumiem... - odrzekł całkowicie zaniepokojony Wojciech, który jednak wiedział, co się dzieje.

Sikorski, patrząc na ucieszone oczy Rosjan, postanowił wszystko zmienić. Chciał się już przyznać, gdy nagle poczuł objęcie na barkach - nie żony, lecz Michaiła - swojego niemiłe widzianego gościa.

Anna coś krzyknęła, lecz świat Wojciecha się wygłuszył. Nie wiedział, kiedy, a już Rosjanie go sądzili. Gdy stał tam - przed tym bezwzględny sędzią życia - patrzył się dumnie i z godnością. Przyznawał się do walki za ojczyznę. Wyrok zapadł - powieszenie - tak bardzo popularne wśród Rosjan.

Gdy po kilku dniach Wojciech podążał na miejsce egzekucji wraz z otaczającym go oddziałem rosyjskim, w tłumie ujrzał swoją żonę. "Anna!" - pomyślał o niej, przypominając sobie wszystkie dobre chwile. Teraz jednak szedł już z podniesioną głową przez szeroką ulicę pewnego miasta. Mijał przydrożne kamienice. Ostatni raz spojrzał na wspaniałą, wielki pałac, który odbijał promienie Słońca od swojej białej fasady.

Ludzie, widząc skazańca, odwracali swe głowy. Raz patrzyli wysoko w niebo, które oślepiało ich zmęczone oczy. Innym razem spoglądali w dół, szukając w tej niezmiernej pustce i brudzie ratunku z zaistniałej sytuacji. Wojciech widział wszystkich ludzi. Był z siebie dumny i uśmiechał się do każdego, kogo mijał.

Gdy doszli do placu, niebo się zachmurzyło. Słońce tylko lekko obejmowało swymi promieniami Sikorskiego, który stał już przy szubienicy. Przy nim była także Anna, którą kilka kobiet próbowało odciągnąć od widoku tej straszliwej sceny. Nim wszyscy się spostrzegli, do każdego ucha nagle doleciał dźwięk, który spowodował zamęt. Ten dźwięk, który utknął w umyśle przyjaciół Wojciecha na zawsze.

Ciało Wojciecha szybko zostało zdjęte z widoku publicznego i wrzucone na wóz, którym wywieziono je za miasto. Nikt nie miał pojęcia, dokąd zmierza pojazd. Anna nie wiedziała, co zrobić. Bała się, lecz przy życiu trzymał ją jeden fakt - za chwilę miał urodzić się syn Sikorskiego.

Po dwóch latach od śmierci Wojciecha, gdy powstanie styczniowe już upadło, Anna i Ludwika - żona Antoniego - odwiedziły wspólnie symboliczne groby swych mężów. Obie podążały cmentarną uliczką w czarnych strojach, które pochłaniały każdy promień Słońca - tak jakby chciały ostatni raz przyciągnąć do siebie ostatnie cząstki, które były świadkami śmierci ich ukochanych. Kobiety nie widziały się już bardzo długo. Umówiły się jednak na spotkanie w kolejną rocznicę wybuchu zrywu. Spojrzały na siebie i szybko ich oczy zaszyły łzami. Pierwsze słowa wypowiedziała Anna:

- Po tylu latach! Jak się trzymasz?

- Staram się sobie radzić - odpowiedziała Ludwika. - Ale brakuje mi...

Wtedy obie się rozplakały. Nie wiedziały, co więcej sobie powiedzieć. Były silne i chciały kontynuować walkę z zaborcą. Przeciwwstawiały się mu, jak tylko mogły, choć nastały ciężkie czasy po upadku powstania. Ich niektórzy znajomi

zostali wywiezieni w głąb Rosji. Rusyfikacja postępowała, a kolejne majątki szlacheckie położone w okolicy konsekwentnie konfiskowano.

Anna i Ludwika po stracie mężów nie mogły się poddać - dobrze o tym wiedziały, a ich ostatnie słowa, które do siebie wypowiedziały, brzmiały: "Ruszajmy! Już nastał czas!".

## Ostatni lot gila

**N**a taki ponury, styczniowy dzień aż szkoda Słońca. O wiele lepiej pasowałby tu deszcz, albo śnieg, jednak to właśnie Słońce przebijając się natrętnie przez bezlistne gałęzie, ujmuje całą sytuację realności. Na myśl, że sama natura sprzeciwia się temu, co miało nadejść, serce Ani zabiło szybciej. Może jednak była dla nich jakaś nadzieja?

Potężny gwizd przywrócił ją do rzeczywistości. Nie. Nadziei na zmianę jej losu nie było, było tylko głośnie stąpanie dziesiątek stóp na nagiej ziemi. Krok za krokiem, ich koniec nieuchronnie się zbliżał. Las Grabina otulał ich teraz ze wszystkich stron, jakby chciał uchronić ich przed przeznaczeniem. Noga za nogą, coraz bliżej celu.

- Utrzymuj szyk! - krzyknął jeden z żołnierzy po rosyjsku. Ten był blondynem o krzywych zębach, które przypominały Ani brata.

Na myśl o Anatólu poczuła, jak serce ściska jej mocno żelazna pięść. Zielona pięść, koloru mundurów otaczających ją żołnierzy.

Jej skostniałe nogi ledwo się poruszały, jednak wymusiła na swoim ciele posłuszeństwo. Była pewna, że poddanie się teraz byłoby gorsze od tego, co czeka na nią pod koniec wędrówki. Poza tym nie zamierzała dać po sobie poznać, jak bardzo dokucza jej styczniowe zimno.

Nagle w chębach coś zaszeleściło i wszyscy zamarli w oczekiwaniu. Żołnierze wymierzyli załadowaną broń w kierunku dźwięku i czekali, pełni napięcia. Jeden z nich, ten z krzywymi zębami, pocił się tak bardzo, że musiał przetrzeć twarz wierzchem dłoni, czym zwrócił na siebie uwagę przełożonego.

- Cel! - wykrzyknął i zmierzył uważnym wzrokiem blond młodzieńca. Otworzył usta, by powiedzieć coś jeszcze, ale zanim wydobył z siebie dźwięk, z chęchów wypadło coś dużego i brunatnego i zaszarżowało na najbliższego sobie człowieka.

Huk przerwał ciszę, a w powietrzu zapachniało ostro dymem i pyłem. Ania musiała siłą powstrzymać się od kichnięcia.

Kiedy emocje już opadły, Ania ukradkiem zerknęła w kierunku krzaków i aż westchnęła ze zdziwienia. Na ziemi leżał potężny odyniec o brązowym

ubarwieniu. Na jedynym widocznym z jej pozycji boku widniały szarawe plamki, które kształtem przypominały serce. Jeden z kłów dzika był ułamany, jakby stoczył w swoim życiu już niejedną bitwę. Szkoda, że właśnie tę przegrał. Ślepią wciąż miał otwarte i zdawał się wpatrywać w Anię swoimi dużymi oczami, jakby prosząc o łaskę. Dolną część szczęki miał oderwaną, przez co jego język zwisał bezwładnie na ziemi. Pod nim zaczęła formować się mała kałuża krwi. Ania przełknęła ślinę. Czy i ona będzie tak wyglądała, kiedy żołnierze z nią skończą?

Głowa Ani odskoczyła w bok. Co do diaska? W głowie jej dzwoniło i miała mroczki przed oczami.

- Ruchy! - dotarło do niej po paru sekundach. Jeden z żołnierzy musiał ją uderzyć, zniecierpliwiony czekaniem aż dołączy do reszty grupy.

Ania mocniej zacisnęła w pięści skostniałe dłonie, a ostry koniec broszki wbił się w skórę, przebijając ją. Zignorowała leniwy strumień ciepłej krwi, która zaczęła lecieć wzdłuż jej palców i spojrzała w górę na błękitne niebo. Żadna chmura nie zdobiła jeszcze jego błękitu.

Ania zadrżała mimowolnie i mocniej wtuliła głowę w ramiona.

Mimowolnie obejrzała się na resztę towarzyszących jej ludzi, jedynych, którzy będą towarzyszyć jej w śmierci. Jej kaci. Inne ofiary. Tak mało ich od siebie dzieliło, tylko kawałek metalu trzymany w dłoni, a równie dobrze mogli znajdować się na dwóch krańcach Polski. Ania nie była w stanie zrozumieć, jak człowiek jest w stanie aż tak skamienieć, by być w stanie odebrać komuś życie. A jednak ewidentnie było to możliwe, bo widziała jak ten sam żołnierz, który przed chwilą uderzył ją w głowę, zastrzelił pół godziny temu jej sąsiadkę bez mrugnięcia okiem. Na jej oczach pół oddziału powstańczego została wybita, a reszta złapana pomimo prób ucieczki i zmuszona do powrotu w głąb lasu.

Jakiś żołnierz popchnął ją mocno w kierunku reszty grupy i potknęła się, starając się nadążyć.

Poczuła, że gdyby nie gula, która od wczoraj ścisnęła jej gardło, nie byłaby w stanie powstrzymać się przed głośnym łkaniem. Teraz pozostała jej jedynie duma i nie zamierzała tracić jej tak łatwo, choć wargi drżały jej niemiłosiernie.

Opuściła głowę, kiedy zawiął wiatr i dopiero wtedy zauważyła, że krew skapująca z jej drżących palców tworzy coś w rodzaju ścieżki.

Chociaż ta żałosna ścieżka zostanie po jej śmierci. A może Anatol znajdzie ją, idąc śladem, który zostawiła. Zacisnęła oczy, próbując powstrzymać łzy. Miała

nadzieję, że Anatol nigdy jej nie znajdzie, i że przeżyje całe swoje życie, nie myśląc o niej ani razu. Że będzie bezpieczny.

\*\*\*

- Jeszcze jedna, jeszcze jedna! - wykrzyknął Anatol, całkiem rozbudzony.

Ania westchnęła głęboko i wzięła głęboki oddech, żeby uspokoić skołataną nerwy. Dziś był ważny wieczór i chciała wcześniej położyć brata spać, by móc jak najszybciej wyjść na spotkanie w lesie, jednak Anatol miał zupełnie inne plany. Już od ponad pół godziny czytała mu bajki z wytartego tomiku bajek Andersena. Książka ta należała kiedyś do jej matki i było po niej widać wyraźne ślady użytkowania, chociaż wydana została nieco ponad dziesięć lat wcześniej. Zarówno ojciec, jak i matka byli zagorzałymi czytelnikami. Oboje głośno sprzeciwiali się również nierównościom i niesprawiedliwości, przez szybko głos o nich zaginął. Ania wiedziała teraz, że matka i ojciec starali się zadbać o godną przyszłość dla swoich dzieci, ale nie mogła się powstrzymać i w naprawdę złe dni szczerze ich nienawidziła. Nienawidziła tego, że w wieku czternastu lat została sama z bratem bez planu na przyszłość, bez rodziny i bez pieniędzy. Nienawidziła ich za to, że nigdy się z nie pożegnali. Nienawidziła też siebie samej za te myśli, zwłaszcza gdy późno w nocy próbowała spać, wsłuchując się w ciche senne pomrukiwanie Anatola.

Nie pozwolono jej nawet nosić po nich żaloby, bo nie stać ich było na zapłacenie kary za złamanie zasad.

Nienawidziła też tego, że sama miała zamiar pójść w ich ślady i zostawić brata samego, w opiece dalekiej kuzynki ojca, która miała zabrać Anatola do Łowicza, by tam zamieszkał z resztą rodziny. Miała nadzieję, że brat kiedyś jej wybaczy.

- Już jest późno, Antek. Nie jesteś zmęczony?

- Jeszcze tylko jedna, proszę. - Anatol spojrzał na nią, wydawszy usta. Niedawno odkrył, że uroczym dzieciom więcej uchodzi na sucho i zaczął wykorzystywać swój wygląd cherubinka do niecnym celów. Na przykład po to, by przekonać swoją zmęczoną siostrę do przeczytania jeszcze jednej bajki na dobranoc.

- No dobrze, ale to już będzie ostatnia i idziesz spać - zgodziła się Ania i zaczęła czytać.

Kiedy podniosła wzrok po paru minutach, Anatol już spał. Ania westchnęła głęboko i zdmuchnęła świeczkę. Była spóźniona.

Szybkimi ruchami zgarnęła do chlebaka butelkę wody i trochę starego bochenka chleba. Na szyję założyła szalik odziedziczony po ojcu, a w dłoni ścisnęła broszkę matki w kształcie gila.

Musiała się pospieszyć, bo spotkanie na pewno już się zaczęło. Biegiem ruszyła w kierunku lasu, nie mijając po drodze prawie nikogo. Ludzie bali się wychodzić teraz na zewnątrz, nawet jeśli nic nie ciążyło im na sumieniu.

Po dotarciu do brzegu lasu zwolniła kroku i ostrożnie udała się na miejsce spotkania, kierując się znakami pozostawionymi przez idących przed nią członków grupy. Kiedy wreszcie dotarła na miejsce, powitał ją zgiełk tworzony przez uniesione głosy powstańców. Ksiądz Czajkowski właśnie przemawiał, a każde jego słowo prowadziło do coraz głośniejszych okrzyków obecnych powstańców. Ania dawno nie słyszała takiego rejuwachu. Z boku stał Rybicki i przyglądał się mapie i coś na niej wskazywał. W powietrzu dało się odczuć napięcie.

Nagle całą polanę ogarnęła cisza, gdyż ksiądz uniósł dłonie ku górze.

- Przysięgacie? - zapytał ksiądz Czajkowski oficjalnym tonem.

- Przysięgamy! - dało się słyszeć z setek gardeł. Ania, przejęta, dała się ponieść ekscytacji, dołączyła do nich.

- Przysięgamy! - powtarzała. Chciała walczyć o swój dom, o miejsce dla brata. Musiała coś zrobić. - Przysięgamy!

Wyruszyli z piosenką na ustach, hymn Polski śpiewany przez tak wiele osób sprawiał, że krew w żyłach Polaków wrzała. Wrócili do Łodzi. Najpierw skierowali ich w stronę siedziby Towarzystwa Strzeleckiego, gdzie Ania patrzyła, jak dwudziestu ludzi próbuje na raz wyważyć wąskie drzwi. W końcu młoda kobieta, której imienia nigdy nie wyłapała, otworzyła zamek w drzwiach spinkami do włosów. Dzięki niej, grupie udało się wedrzeć do środka i zagarnąć broń bez dalszych opóźnień.

Sztucer ciążył Ani na ramieniu, kiedy maszerowała wraz z innymi do banku, do którego również się włamali. Rybicki, słysząc głosy wątpliwości, przypomniał im, że nie idei zjeść nie można. Potem był już tylko monotony

marsz przez zalesione tereny, pot i zmęczenie, pomieszane z podekscytowaniem. Wreszcie mogli coś zrobić! W końcu dołączają do innych walczących i sprzeciwiają się Rosjanom! Nie obyło się, jednakże bez zmartwienia, bo co się stanie, jeśli im się nie uda? Kto powie ich rodzinom, gdzie złożyć kwiaty? Maszerujący ludzie starali się o tym nie myśleć. Byli w końcu młodzi, a na razie wszystko szło dobrze. Nikt ich jeszcze nie złapał, żaden żołnierz nie skierował na nich broni.

Morale były wysokie, zwłaszcza kiedy już dotarli do Łasku.

A potem znaleźli się pod Wronowicami i tam w końcu dopadły ich oddziały rosyjskie. Żołnierze ubrani w zielone mundury, dzierżący w garści nabite karabiny. Ania nie wiedziała, co robić, na polanie panował istny chaos. Pobiegła w prawo, chcąc schronić się przed śmigającymi po bokach kulami, jednak i to nie pomogło. Wpadła na kogoś i odruchowo przeprosiła. Zielony mundur. Złapała mocniej broń i nacisnęła spust. Nic. Żołnierz wycelował, ale zanim wypalił, w jego policzek wbił się naostrzony pal.

- Uciekaj! - wrzasnął chłopak, niewiele od niej starszy.

Ania ruszyła, zostawiając za sobą pole walki. Biegła, ile sił w nogach, mijając ludzi i potykając się co chwilę o ciała, kamienie i gałęzie. Sama nie była pewna, dokąd zmierza. Chciała tylko zostawić za sobą tę masakrę.

Kiedy wreszcie się zatrzymała i oparła o drzewo, próbując złapać oddech, poczuła, że całe ciało się jej trzęsie. Drżała, a zęby jej szczękały, dzwoniąc głośno.

- Tam jest! - usłyszała i jęknęła cicho.

Chciała ruszyć się, uciec gdzieś, gdzie by jej nie znaleźli, ale zanim zdążyła to zrobić, poczuła na ramieniu żelazny uścisk czyjejś dłoni, a koło ucha ktoś zasyczał jej:

- A dokąd to?

Została złapana.

\*\*\*

Pełen cierpienia krzyk wyrwał ją z zamyślenia. To jedna z kobiet przewróciła się na ziemię i została stratowana przez idących ludzi. Nie mogli się zatrzymać, nie mogli jej pomóc. Nie mogli nawet odwrócić się, żeby towarzyszyć jej w jej ostatnich chwilach. Powietrze przeciął dźwięk wystrzału. Ciało kobiety

zostało w tyle, a oni szli dalej. Już niedługo, pomyślała Ania, odrętwiała. I miała rację. Już po chwili jej oczom ukazała się polana z dużym głazem. Stanęli w oczekiwaniu.

- Stańć w rzędzie! - rozkazał blond żołnierz, wymachując bronią.

Grupa Polaków, dumnie stanęło przed nim, z rękami złączonymi w mocnym uścisku. W tych ostatnich chwilach nikt z nich nie będzie samotny. Ania ścisnęła dłonie mężczyzny stojącego obok i poczuła, jak jego spocone palce miażdżą ją w desperackim uścisku. Ból przestał być ważny, był jedynie drugorzędną myślą, którą łatwo było jej odsunąć na bok.

Przełknęła ślinę i wyprostowała się, patrząc w oczy najbliższego żołnierza. Jego oczy były nierówne, zauważyła beznamiętnie. Zupełnie jak oczy jej matki, kiedy patrzyła na nią lata temu, zanim bezpowrotnie zniknęła.

Wzięła głęboki oddech i spojrzała w górę. Między gałęziami przeleciał gil. Uśmiechnęła się. Idealny dzień na śmierć.

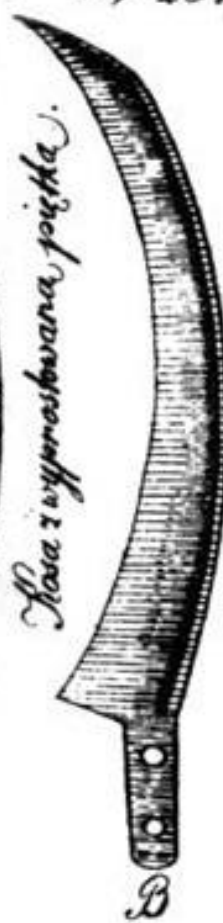
Ciszę przerwał huk niezliczonej ilości wystrzałów.



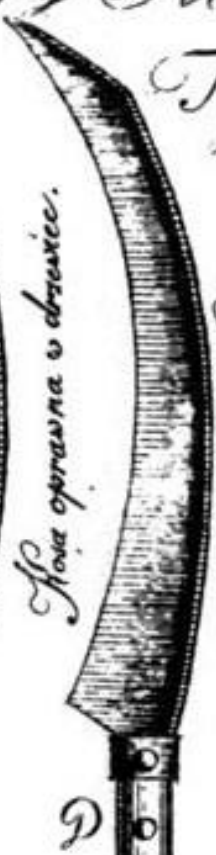
# Wzory Kos. Fig. 1



Kosa wykrayna trawna.



Kosa z wyprostowana piętka.



Kosa oprowna w drzewiec.

Drzewiec Kosy.

